ROK I. Nr. 48

22 grudnia 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Teatr „Morskie Oko", wystawia obecnie, cieszącą się wielkim powodzeniem, efektowną rewję p. t. „Cała Warszawa". W drugim finale rewji, występują typy warszawskie, między innemi sprzedawcy pism. Fotograf nasz uchwycił jedną z pięknych girls z numerami „7 DNI".

Fot. Brzozowski.



Ciekawe zdjęcie z Brighton (Anglja), na którem widzimy ponurą grozę burzy morskiej, szalejącej u wybrzeży Anglji i Francji.



Wszystkie kataklizmy zrzeszyły się przeciw Anglji, wyrządzając nieobliczalne szkody w całym kraju. Oto obraz jednego z wielu miast, zalanych w wyniku strasznego orkanu.



Wielka nagroda na wyścigach automobilowych w Tunisie przypadła w udziale baronowej Elern (Bugatti), którą widzimy na fotografji w chwili przybycia do mety.



Ośmielony popularnością, jaką cieszy się w swym kraju Książę Walji młodociany G. Gills zatrzymał księcia na ulicy, prosząc go o autograf. Interwencja ulubieńca narodu angielskiego obroniła entuzjastę od kary wydalenia ze szkoły.



Red. Władysław Ludwik Evert, którego energicznej inicjatywie zawdzięczamy wiele poczynań w dziedzinie zbliżenia z naszymi sąsiadami z nad Bałtyku — Łotwą i Estonją.



Najstarszy syn wielkiego przemysłowca niemieckiego, Stinnesa—Edmund wstąpił w związki małżeńskie z p. Marją von Graevernitz w New Yorku.



Gabinet Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, w którym codziennie odbywają się narady z przedstawicielami sfer politycznych i reprezentantami klubów sejmowych w sprawie przesilenia rządowego.



Utalentowany wiolonczelista, Wiłkomirski, wystąpił w naszej stolicy z szeregiem koncertów. Krytyka fachowa wyraża się z wysokiem uznaniem o grze artysty.

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

Kobieta nienormalna

W romansach, w powieściach opowiadają nam o demonach. Na ekranach — pokazują nam wampirzyce. W cyrkach, bałaganach, muzeach osobliwości — demonstrują nam kobiety-syreny, kobiety-foki, i poprostu, zrośnięte kobiety. Ale to wszystko niema, jak się okazuje, nic wspólnego z prawdziwą *kobiecością*. Bo prawdziwa kobiecość bywa sucha, jak pieprz, zimna, jak lód, i spokojna, jak bileter w muzeum figur woskowych. I wszelkie dywagacje na temat „płonących warg", „dyszących łon", „kipiącej krwi" — wszelkie (męskie) improwizacje na temat niewieściej (domniemanej) seksualności — biorą sromotnie w łeb. Okazuje się, że kobiety nie posiadają jednej setnej owych uroczych, ale nieco żenujących cech, jakie im przypisujemy. Przeciwnie. Przepadają za dobrem jadłem, smacznym snem, życiem bez wzruszeń i bez pieszczot. Więc jakież ostatecznie są?

— *Frigidae.*

* * *

Historja, którą zaraz opowiem, miała pierwotnie ilustrować pierwszy mój wykład na wszechnicy w Częstochowie. Wskutek intryg ludzi zawistnych odebrano mi jednak katedrę Psychologji seksualnej, w tej znakomitej wyższej uczelni. Dano ją, zdaje się, jakiemuś porucznikowi wojsk łączności. Tem lepiej. W formie noweli łacniej, być może, dotrze do nas... W każdym razie — cokolwiek o tej historji powiecie — przyznacie mi, że owe upały cielesne, owa żądza pocałunków, owa nadprzyrodzona zdolność miłosna, przypisywana przez mężczyzn kobietom — to zupełna fikcja, twór męskiej, chorobliwej wyobraźni!

* * *

Urodziła się w Kielcach. Oddawna fama głosi, że Kielczanki i Radomianki odznaczają się wściekłym temperamentem. Otóż *Ona* nie miała wcale temperamentu. Chociaż była śliczna, nigdy się z nikim nie całowała: nawet pod jemiołą. Dorosła do pełnoletności, dostała posadę na poczcie, rozkwitła, jak róża — i nic.

Ani jednego kochanka. Ani jednego narzeczonego. Ba! Ani jednego flirtu.

Wezwał ją któregoś dnia, do swojego gabinetu, szef. Poczęstował czekoladką. Uśmiechnął się przymilnie. Powiedział:

— Panno Heleno... (Helena było jej na imię) — Mam dla pani niezmiernie korzystną propozycję.

— Jaką, panie Szefie?

— Ministerstwo Poczt i Telegrafów wybiera w tym roku własną królową Urody i Cnoty...

— Słyszałam, panie Szefie.

— Otóż chcę pani zakomunikować miłą dla niej wiadomość: wybór nasz padł na panią!

— Tak?

— Tak. Czy chce pani jechać na turniej do Warszawy? My płacimy koszta podróży.

— Na turniej? Ja nie jestem silna w ręku.

— Urocze dziecko z pani. To nie o to chodzi.

— A o co?

— Trzeba pojechać do Warszawy, ubrać się jaknajładniej, i stanąć przed Jury, które się będzie składało z trzech wyższych urzędników naszego ministerstwa, malarza, rzeźbiarza, reżysera filmowego, artysty-fotografa, poety, komisarza policji i ginekologa.

— A co potem trzeba będzie robić?

— Podobać się!

— Wszystkim?

— Wszystkim. A przynajmniej — większości.

— Czy ja to potrafię?

— Potrafi pani. Napewno!

— Przypuśćmy, panie Szefie. I co dalej?

— Dalej? Zwycięży pani i zostanie na rok 1930 — „Miss Pocztą"!

— Poco?

— Jakto, poco? Ogromny zaszczyt. Fotografje pani będą we wszystkich pismach. Będzie pani, być może, wymieniona w jakimś ministerjalnym cyrkularzu... Zaawansuje pani... Kto wie? Może wyjdzie pani świetnie zamąż?

— Zamąż? W jakim celu?

— Pani jest paradna! Pocóż panny wychodzą zamąż — jak pani sądzi?

— Nie mam pojęcia.

— Gąska! Słowo honoru, zupełna gąska! Ale z tą naiwnością, z tą nieświadomością — szalenie pani do twarzy. Głową ręczę, że pani zostanie obwołaną „Miss Pocztą"! Zresztą, inne ministerstwa organizują to samo. Będziemy mieli „Miss Kolej", „Miss Oświatę", „Miss Zarząd Stadnin Państwow..." — nie, pardon, to jeszcze na razie nie ministerstwo. Do rzeczy. Jedzie pani?

— Mogę.

*

Panna Helena pojechała tedy do Warszawy. Na konkurs ubrała się straszliwie, jak na dziewczę z prowincji przystało, ale była taka urocza i taka dziewicza, że wszyscy sędziowie zaczęli łykać ślinkę, a ginekolog powiedział nawet:

— Stuprocentowa. Odpowiadam moim doktoratem!

Jednomyślnie przyznano jej I-ą nagrodę. Kiedy stanęła na podjum, przed Jupiterem, znudzona i senna, ubrana w sukienkę fraisse, pończoszki lila i pantofelki z żółtym „rantem" — rozległ się na sali szmer uwielbienia, pomieszany ze śmiechem. Jeszcze większy entuzjazm wybuchł, gdy ubrała się na wychodnem w płaszczyk: bo to był płaszczyk w kratę szkocką i miał na kołnierzu białe króliki: efekt wprost morderczy...

— *Immaculata.*

Zaraz ją sfilmowano, potem obsypano podarkami. Od ministra dostała awans, od kolegów pudło cukierków, od koleżanek kwiaty (dwie róże były podobno posypane leciuchno arszenikiem, ale to się dopiero później wydało!). Pozatem dostała jeszcze patefon, tuzin pończoch, tuzin żarówek Osram, parawan japoński, lornetkę, abonament do łaźni, lożę do teatru, amerykański Kodak, zatrzask Yale, gorset, okulary automobilowe, kalendarz ścienny i książkę kucharską.

Tak obdarowana wróciła do Kielc i zameldowała się w biurze.

— Jakże było w Warszawie? — obsypali ją zapytaniami koledzy. — Wspaniale, prawda? Bajkowo? Cudownie?

— Owszem.

Zaraz też gruchnęły po biurze dwie sprzeczne wersje: pierwsza, — że panna Helena wychodzi zamąż za dyrektora departamentu w Warszawie; druga — że została zaangażowana do pewnej wytwórni amerykańskiej, której manager, niegdyś żydek z Kielc, stracił dla niej głowę.

Prawda leżała pośrodku. W trzy dni potem wezwał ją do siebie szef.

— Panno Heleno...

— Co, panie Szefie?

— Mam do pani sprawę...

— Czy to jaki pilny kawałek?

— Nie. Osobistą sprawę.

— Słucham.

— Czy pani nie chciałaby zostać... moją żoną? Zastanowiła się chwilę, wzruszyła ramionami.

— Mogę.

* * *

Już was zapewne uderzyła „nienormalność" tej kobiety. Otóż przekonacie się zaraz, że to były wszystko głupstwa. Najlepszy kawał przyjdzie teraz!

Ślub panny Heleny z jej szefem odbył się bardzo hucznie i okazale. Z ministerstwa przyszła depesza gratulacyjna, na weselu wypito 16 butelek Złotej Renety, wogóle, jak na stosunki urzędnicze, orgja. Zdawałoby się, że po krótkiem, burzliwem pożyciu z mężem, starszym od niej o 30 lat, *zwieje*. Że zostanie metresą jakiegoś bankiera, albo hrabiego, że potem wyjedzie zagranicę, urodzi w nędzy dziecko, utopi to dziecko w kanale, zapozna się z hersztem międzynarodowej bandy handlarzy kokainą, założy w Berlinie kabaret, ucieknie z murzynem, wypłynie w Hamburgu, skradnie włoskiej markizie kolję brylantową, dostanie się do więzienia, oczaruje naczelnika więzienia, potem ministra sprawiedliwości, zostanie szpiegiem politycznym, poślubi barona, zdradzi go z szoferem, wyjedzie do Stanów Zjednoczonych, i tam nareszcie ustatkuje się, jako żona króla Stali, albo króla Konserw, mająca własny jacht, willę na Riwjerze, pałac w Palm Beach, perły wartości miljona dolarów — i kolosalną rentę?...

(*Dokończenie na str. 21-ej*).

BOŻE NARODZENIE W RÓŻNYCH KRAJACH



Zwyczaj obchodzenia wiosek z kolendą zachował się w wielu częściach naszego kraju. Chłopcy wiejscy odbywają repetycję w tygodniu przedświątecznym.
(fot. Photoplat).

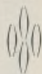


Starodawny zwyczaj londyński nakazuje, by w dzień Bożego Narodzenia wystawiano na pokaz sieroty z przytułków, które może znajdą wśród publiczności chętnych opiekunów. Na ilustracji widzimy rewję przedświąteczną dzieciaków.





„Bezbożnicy" sowieccy bezustannie usiłują oderwać naród od religji. Oto jeden z „numerów", do którego słynny komik Durow przygotowuje fokę na występ na kazalnicy cerkiewnej z okazji zbliżających się świąt. W sprawie kampanji zajadle prowadzonej przez bolszewików przeciwko religji poświęcimy w najbliższym czasie obszerniejszy artykuł.



W Anglji, we Francji i w Ameryce najskromniejsze rodziny nawet uważają sobie za obowiązek uraczyć swych gości podczas świąt indykiem. Nielada to okazja zarobku dla farmerów, którzy wyprawiają całe pociągi ptactwa do miast.



Bogaczowi hinduskiemu Aga Khanowi, który niedawno zaślubił p. Carron, przygotowują na święta kolosalnych rozmiarów tort w odpowiednim stylu.



Honorarja „gwiazd" sportowych

— Czy słyszeliście, że Tunney, za swój ostatni mecz z Dempseyem otrzymał 900.000 dolarów?

— Czy wiecie, że Marcie Norelius wypłacono za zwycięstwo w żeńskim Maratonie pływackim 50.000 marek?

— Czy czytaliście najświeższą sensację sportową, że „boska" Zuzanna Leglen została zawodowcem?

Te i temu podobne pytania krzyżują się pomiędzy roznamiętnionymi amatorami sportu. Amatorzy ci, to klasa ludzi, usposobionych wroga do zawodowców, renegatów — jak mówią — czystego charakteru sportu; niemniej jednak, każdy z nich wzdycha w głębi duszy i marzy o tem, by móc im dorównać nie tylko wyczynami sportowemi, ale i wysokością otrzymywanych honorarjów.

Bo faktycznie! Królewskie to są honorarja, które pobierają gwiazdy sportowe za swe występy.

Nieliczna grupa „żelaznych" amatorów, którzy z pogardą i bodaj niechęcią odzywają się o „profesionalistach", mylą się w samem założeniu. Omyłka ta, do której żarliwie nie chcą się przyznać, jest oczywistą i znajduje logiczne tłómaczenie w całym szeregu przykładów życiowych.

Jest dużo ludzi, którzy malują — jednak nie każdy może zostać Matejką... Miljony grają na fortepianie — jednak słynnymi wirtuozami zostaje niewielu. Każdy niemal, kto nauczył się pisać — zapisuje całe libry papieru swojemi utworami — nie każdy jednak zostaje Żeromskim. Z tych trzech przykładów, wziętych z życia, widać, że prócz dobrej woli i wytrwałości potrzeba jeszcze pewnej drobnej rzeczy, która się zwie talentem.

Porównawszy muzyka, malarza czy poetę do sportowca, dochodzimy do przekonania, że tylko ci z nich, którzy posiadają w sobie t. zw. iskrę bożą, utrwalają swe imię na kartach historji.

Nikt z oburzeniem nie odzywa się o słynnym malarzu, czy muzyku, że środki materjalne czerpie ze swego talentu. Dlaczegóż sportowiec, który posiada w sobie ów talent, wyróżniający go z pomiędzy miljonów, nie miałby również swe zdolności sprzedawać?

A droga do sławy jest ciężka i stroma, i łatwo z niej można się obsunąć. Sława sportowca, zwykle bywa bardzo krótka, gdyż mięśnie ludzkie nie doszły jeszcze do kresu swych możliwości. Rekordy, ustalane przez asów boisk, czy ringów, pływalni czy placu wyścigowego padają bardzo szybko. I dzisiejszy król sportu, zostaje zepchnięty na plan drugi, co się równa prawie zapomnieniu.

Nic więc dziwnego, że sportowiec zawodowy, który czerpie dochody ze swych wyczynów, a nie z uprawiania trenerstwa, stara się swe honorarjum jaknajbardziej wygórować.

* * *

Pierwszymi zawodowcami sportowemi byli żokieje. Posiadanie dobrego konia nie przesądzało, jak i nie przesądza o zwycięstwie. Dobry jeździec, nawet na gorszym koniu, od ogólnie forytowanego ulubieńca, dosiadanego przez miernego żokieja, może być zawsze pewnym zwycięstwa. To też posiadanie dobrego żokieja przez jakąś stajnię wyścigową zapewnić może większości jej koni powodzenie. Słynny żokiej niemiecki, Otto Schmidt, otrzymywał stałej gaży 36.000 marek rocznie, nie licząc premij za poszczególne zwycięstwa. Premje te łącznie z gażą przynosiły mu około 100.000 marok rocznie. Amerykanin Haynes był rozrywany przez rozmaite stajnie; wreszcie bracia Selaree przelicytowali go dla siebie za sumę 45.000 dolarów. Największą sumę zarobił żokiej wiedeński, Walter Rütt, otrzymując za jeden ze swych biegów 400.000 marek.

Po żokiejach wypłynęli pięściarze jako zawodnicy, utrzymujący się ze sportu. Nazwiska takie, jak Dempsey i Tunney, znane są całemu światu, a o ich zawrotnych zarobkach mówią z podziwem i zazdrością. Za swój pierwszy mecz z Dempseyem, Tunney otrzymał 750.000 dolarów, oraz koronę mistrza pięściarskiego świata. Za swą ostatnią, rewanżową walkę z Dempseyem, wypłacono mu 900.000 dolarów. Sumy te, astronomiczne dla nas, a zarobione w ciągu niespełna godziny przez zwycięskiego Tunneya, są wyrazem zrozumienia sportu w Ameryce, które obsypują złotem swoich ulubieńców. Prócz tego Ameryka jest typowym krajem reklamy, reklamy mądrej, skutecznej, ale i drogiej. Słynny bokser musi się reklamować. Musi utrzymywać cały sztab oficjalistów, pielęgnujących nietylko jego szanowne zdrowie i mięśnie,



Słynny tenisista czeski Koželuch, którego dochody roczne przewyższają 200.000 złotych (u góry). Laughran mistrz świata w wadze pół-ciężkiej (pośrodku). Paul Whitamann król jazzu amerykańskiego namiętnie uprawia basse-ball (u dołu).

ale i natężenia blasku jego nazwiska. Amerykanin, idąc na mecz Tunneya, potrzebuje podniety w postaci reklamy. Musi widzieć na każdym rogu ulicy olbrzymi afisz z podobizną swego ulubieńca, na każdej reklamie świetlnej zapowiedź owego meczu. To mu dodaje ostrości w konsumowaniu wrażeń bezpośrednio przed ringiem, oraz chęci do płacenia kolosalnych sum za bilety wejściowe.

Pospolicie u nas zwani „siłacze", produkujący się walkami francuskiemi i wolno-amerykańskiemi, byli swojego czasu ulubieńcami fortuny. Zarabiali wysokie honorarja, bogate premje i... krótkotrwałą sławę. Mistrz wagi pół-ciężkiej, Laughran zdążył zarobić w ciągu trzech lat około 3.000.000 marek. Życie jednak zepchnęło sport zapaśniczy na drugi plan. Dziś ten sam Laughran z wielkim trudem zdoła zarobić 20.000 marek. *Sic transit gloria mundi.*

Królem najmodniejszego sportu w Ameryce, *Baseball'u* jest bezwątpienia Baby Ruth. Zarabia on przeciętnie około 70.000 dolarów rocznie, przyczem występuje, w międzyczasie, w filmie, pobierając tam również niezgorsze ekwiwalenty. Ostatnie go engagement w jednym z przedsiębiorstw sportowych przynosi mu 1.000.000 dolarów rocznie.



Baby Ruth mistrz świata w grze w basse-ball.'

Piłka nożna również posiada w swych szeregach zawodowców, Z nich tworzone są bardzo często reprezentacje państw, występujące na turniejach międzynarodowych. W Anglji dobry piłkarz otrzymuje do 8 funtów tygodniowo, a prócz tego premje miesięczne. Jeden z najsłynniejszych piłkarzy Anglji, Charlie Buchan sprytnie wykalkulował, że mając sławne nazwisko, może również w innym fachu zarabiać duże pieniądze. Otworzył więc sklep z przyborami sportowemi, w którym każdy, szanujący się sportowiec angielski kupuje niezbędne mu przybory.

Narodowym sportem Hiszpanji jest walka byków. Walka ta, połączona z niebezpieczeństwem życia, wymaga sprawnych i pewnych matodorów. Matadorowie tacy zarabiają w sezonie około 250.000 pesetów. Czwarta część tego honorarjum idzie na zapłacenie pensji picadorom i banderillosom, którzy są przez matadora utrzymywani.

Słynny tennisista czeski, Koželuch, założył specjalną szkołę tenisową, czerpiąc z niej niemałe dochody. Oceniają go na 50.000 marek rocznie. Nie przeszkadza mu to występować na wszystkich meczach, gdzie zdobywa się wysokie nagrody pieniężne.

„Boska" Zuzanna Leglen przeszła również do szeregów zawodowców, otrzymując za swoją pierwszą pokazową grę w Ameryce 75.000 dolarów.

Wyliczeni powyżej nieliczni sportowcy stoją na czele tych „dziesięciu tysięcy" uprzywilejowanych, którzy poświęcili całe swe życie sportowi. Sława ich jest krótka. Wciąż wypływają nowi konkurenci, usuwając dotychczasowych mistrzów w cień. Publiczność lubi rozmaitość. Tłum jest zmienny w swoich sympatjach. Dlatego też każdy z profesjonalistów każe sobie dobrze płacić za to, że jest podziwianym.

BRUNO WINAWER

Karnawał i geologja

W drugiej połowie grudnia człowiek prawdziwie współczesny wysypuje naftalinę z ubrania frakowego, oddaje białą kamizelkę do pralni chemicznej i wydobywa z głębin szuflady pewną twardą deszczułkę, którą zwykł nosić na piersiach w karnawale. Jest to dalekie echo pancerza średniowiecznego, tak zwany „gors". Sam gors światowcowi nie wystarcza, musi być przyszyty „na fest" do koszuli, do której też mosiężnemi spinkami przyczepiamy starannie ryngraf wykrochmalony z napisem „Non plus ultra", albo „To day", albo „Caruso", numer 38.

Co właściwie oznaczają nasze zabawy taneczne, nasze hopki i prysiudy, nasze wieczory sylwestrowe, reduty, maskarady i bale — niewiadomo. Niektórzy przypuszczają, że to jakieś instynkty pogańskie nagle w nas się odzywają, że to jakieś odległe, zamierzchłe, zamarłe obyczaje wstają z letargu po wiekach. Duchy przodków — jaskiniowców i małpoludów — dopominają się o swoje prawa, każą nam drygać nogami po nocach przy ognisku w „Oazie" i cieszyć się, że słońce wraca, dzień będzie dłuższy, nadejdzie wiosna... Że mrozy miną i twarda opona lodów trzaśnie, pęknie, spłynie, a ziemia się znów wesolutko zazieleni.

Był czas, kiedy tańce i podrygi nie wywołały pożądanego efektu, kiedy dłuższy dzień nie zapowiadał wiosny i straszliwa opona wiecznych lodów pęknąć ani rusz nie chciała. Lodowce sięgały od północy aż po dzisiejszy Kraków i Lwów, pokrywały Australję, Amerykę północną, Indje... Uczeni głowią się nad przyczynami, nikt tego nie może pojąć, utworzono 77 różnych teoryj, z których żadna ponurego zjawiska nie tłumaczy...

Fakt pozostaje faktem — z geologją żartów niema: we wszystkich krajach — dziś cywilizowanych—zima, poważna, mocna, tęga, mroźna zima trwała przez kilkaset tysięcy lat bez przerwy. Nie znajdziemy o tem wzmianki w dziennikach, ani w kronice towarzyskiej, ale ów długi „sezon" zaznaczył się wyraźnie, zapisał się niezatartemi śladami w dziejach naszego globu.

Nie wiemy, czy już wówczas obchodzono karnawał, chociaż tablice geologiczne podają jak na dłoni: *pleistocen* — epoka lodowcowa — mamut, niedźwiedź jaskiniowy — *człowiek!*

Wtedy bowiem odbył się nasz „debjut", nasza premjera, nasz pierwszy występ gościnny. My — ludzie — zjawiliśmy się na ziemi i ani mamuty, ani niedźwiedzie jaskiniowe nie przypuszczały zapewne, że zrobimy aż tak wielką karjerę w życiu, że jeden z nikłejszych i mizerniejszych gatunków zoologicznych — dzięki protekcji czy własnym zdolnościom — obejmie stanowisko wybitne „króla wszech stworzeń".

Rzecz jest istotnie zdumiewająca i zasługuje na chwilę głębszej zadumy.

Wróciła właśnie z Azji ekspedycja uczonych amerykańskich, przywiozła materjał bardzo bogaty i wódz tej wyprawy, mistrz sędziwy prof. H. F. Osborn opowiada, co znalazł w piachach pustyni Gobi. Tu bowiem — zdala od gwarnego świata — kopali i grzebali przez czas dłuższy paleontologowie, tu szukali szczątków dawnej świetności.

Z kości i szkieletów odbudowali bardzo sprytnie i zgrabnie dawne formy, odfotografowali nawet jakieś skamieniałe jajo, zniesione przed setkami tysięcy wieków.

I teraz prowadzą nas do dziwnego ogrodu zoologicznego.

Żyrafa - nosorożec z epoki trzeciorzędowej ma wysokość 8 metrów i chodząc po Warszawie zaglądałaby bez trudu w okna drugiego piętra. Ptaki potworne, gady olbrzymie, smoki, krokodyle. Małe główki, wielkie ogony, zadziwiające garby — toboły nad rozwartą paszczą, kły, trąby, — nogi jak kolumny potężne...

Niema oczywiście nazw odpowiednich w ubogim, potocznym języku ludzkim i uczeni tworzą sobie własną terminologję, rzucają słowami równie długiemi i ognistemi, jak owe zwierzaki przedpotopowe: *prodeinodon* z epoki juwajskiej, jego kolega i rówieśnik *asiatosaurus, deinodont* (pochodzi z górnej kredy), *baluchitherium* (trzeciorzęd młodszy)...

I — patrzcie państwo — wszystkie owe nazwiska piękne wyginęły, a panowie Kalesoński i Szwamdryber żyją.

Potężne kły, metrowe czerepy leżą głęboko w azjatyckim piasku, żebra tkwią w kredzie, kręgi i ogony trzeba wydobywać pracowicie z głębin ziemi, a panna Dziunia Pobrykalska szczerzy drobn ząbki w uroczym uśmiechu.

Przez 155 miljonów lat — jak oblicza profesor Osborn — nasz glob dudnił i jęczał pod uderzeniami owych nóg-taranów, żywe góry wałęsały się po tym padole, nieprawdopodobne cielska i przeraźliwe ryje jednem uderzeniem obalały wiekowe drzewa — a teraz my wycinamy hołubce na woskowanych posadzkach dancingu.

Jakaś niewyjaśniona dotąd zmiana w warunkach klimatycznych zmiotła z powierzchni i pogrzebała w piasku gady, ssaki, smoki, mamuty, diplodoki i ichtjosaury, a wątły pan Obertelek-Kamizelski objeżdża w zawadjackiem tngu meksykańskiem lokale nocne naszego miasta.

Góry mięsa, wielopiętrowe korpusy i cielska zapadły w nicość, a drobna panna Balbina płynie w walcu wiedeńskim przez salę.

Nie wiem, czy uczeni badacze się ze mną zgodzą, ale ja sądzę, że to dla uczczenia owej drobnej zmiany klimatycznej nabijamy się we frak i wesołemi podrygami witamy wracające słońce.

Przyczyny zjawiska, zwanego powszechnie karnawałem, należy szukać w tablicach *geologicznych.*

Zresztą — nie upieram się. Może nie mam racji.

Nie twierdzę, że jestem nieomylny.

KONKURS

„NAJPIĘKNIEJSZE DZIECKO POLSKIE"

Podajemy dla orjentacji Czytelników, iż w wyniku głosowania, największą ilość kuponów nadesłano na następujące dzieci:

Nr. 194 — 1332	Nr. 10 — 187
„ 233 — 1131	„ 208 — 180
„ 211 — 914	„ 172 — 176

Przypominamy jednocześnie, iż głosowanie zostanie zamknięte w dniu 15 stycznia 1930 roku.

REDAKCJA.

U ŹRÓDEŁ KRACHU AMERYKAŃSKIEGO

Nie przypuszczał z pewnością niejaki Peter Minuet, iż tranzakcja, której dokonał w r. 1626, kupując od tubylców Indjan wyspę Manhattan za... 24 dolary (w walucie paciorków szklanych) da początek założeniu największej metropolji na świecie, jaką jest New Jork. Nie przypuszczał poczciwiec, iż na miejscu, w którem wystawił częstokół z brewien (wall), chroniący bydło od napaści niedźwiedzi i wilków, ciągnąć się będzie arterja wielkiego miasta — Wall Street, tętniąca najintensywniejszem życiem na świecie. Że tu będzie kolebka największych interesów, opartych na rekordowych obrotach. Że stąd światem rządzić będzie wszechpotężna finansjera. Że tu wreszcie nie mniej szybko powstawać będą olbrzymie fortuny, jak również w niwecz obracane będą najśmielsze pomysły, pociągając za sobą klęskę życiową setek tysięcy ludzi.

Domki z kart budowane wśród niebotycznych szczytów potężnych „buildingów". A wszystko oparte na niezawodnych, zdawałoby się, metodach.

I wszystko tu zmierza ku jednemu celowi — osiągnięciu największego dobrobytu drogą ciągłego wzmagania norm zarobkowych, aby tem samem pomnożyć produkcję pochłanianą przez nigdy nienasyconą konsumpcję.

Amerykanie dowiedli istotnie, iż są nielada mistrzami w tym kierunku, a zwłaszcza w dziedzinie organizacji sprzedaży, t. zw. „marketting". Nauka ta oparta jest na ścisłej kalkulacji cen produkcji oraz trwałości wytwarzanych artykułów.

Sprawa ta była poruszana niejednokrotnie z okazji komentowania ustawy o prohibicji.

Realizm atoli w ujmowaniu różnorodnych zagadnień życiowych wywołuje często wręcz fatalne skutki. Wytężona praca, wykorzystywanie każdej sposobności dla wzmożenia produkcji drogą ciągłego ulepszania metody wytwórczości doprowadziła do przesycenia rynku. Społeczeństwo stale wychowywane w tem zawrotnem tempie cyfr oddaje się namiętnie spekulacji. Gra, podtrzymywana przez łatwo osiągalne kredyty rozwija się coraz szybciej. Inwestycja naprzykład, 1000 dolarów w akcjach International Harvester Co przynosi w ciągu 9 lat 4300 dolarów zysku. Obliczono, iż kursy 20 z poważniejszych akcyj przemysłowych, notowanych na giełdzie, wzrosły w ciągu ostatnich kilku miesięcy przed jesiennym kryzysem o przeszło 25%. Ułatwienia w otrzymywaniu kredytów od maklerów giełdowych — brokerów — daje możność dokonywania niebywale korzystnych tranzakcyj.

Niebywale korzystnych... ale nie zawsze i nie dla wszystkich. I w tem miejscu dojdziemy do wyjaśnienia przyczyn niedawno zaszłej katastrofy na giełdach amerykańskich.

A więc, przedewszystkiem, jakże się odbywa gra?

Niepodobna stosować na giełdzie zasady, iż wzrost lub zmniejszenie zapotrzebowania stanowią o kursie walorów. Wręcz przeciwnie. Skoro kurs się podnosi — publiczność kupuje, a przy spadku kursu — stara się pozbyć walorów. Innemi słowy — im wyższy jest kurs, tem więcej tranzakcyj kupna i przeciwnie.

Gra więc, we właściwem znaczeniu, polega na kupowaniu przy spadku kursów, a sprzedawaniu przy tendencji zwyżkowej, na wykorzystaniu nie zorjentowanych nabywców.

Sprzymierzeńcem zawodowego gracza jest makler, t. zw. broker, którego zysk na operacjach, polegających na udzielaniu spekulującym akcyj na kredyt, ogranicza się do pobrania legalnie przewidzianej prowizji. Źródłem kredytu brokera jest bank, w którym znajduje gotowiznę na krótki termin — „call money", bank zaś zasilony jest ze źródeł instytucji państwowej „Federal Reserve Board".

Zauważyć należy przy sposobności, iż broker amerykański ma prawo w wypadku nie otrzymania kredytu w banku odwołania się do pomocy finansowej zagranicy.

Podobne zjawisko miało właśnie miejsce w ostatnich miesiącach. Wynikło ono poniekąd z przyczyn natury politycznej. Chodzi tu mianowicie o wpływ, wywarty na ożywienie spekulacji wskutek zmiany na stanowisku prezydenta Stanów, fakt ten bowiem za Oceanem jest stale związany z udzieleniem większej swobody działania bankom, które, rzucając większe kapitały na rynek, dają pochop do wzmożenia gry na giełdzie. Zwykle atoli po kilku miesiącach, kiedy szerokie sfery społeczeństwa zdołały uwierzyć, iż wraz ze zmianą rządu nastąpił błogosławiony okres życia gospodarczego, kredyty bankowe, odegrawszy swą rolę, poczynają się kurczyć. Federal Reserve Board, kontrolujące obroty prywatne usiłuje powrócić do status quo ante, łatwiej to jednak postanowić, niźli faktycznie wykonać. Społeczeństwo bynajmniej nie ma zamiaru zaniechać korzystnej dla siebie spekulacji i wciąż domaga się dalszych kredytów u brokerów. Dość powiedzieć, iż 7 miljonów dolarów (czyli $^1/_{10}$ kredytu, którym rozporządzają Stany) pozostających na początku r. b. w ręku brokerów okazały się zbyt małą kwotą dla nasycenia rynku giełdowego, a stopa call money'u wzrosła z 5% do 12%. I oto wówczas zachodzi niezwykłe zjawisko. Z biednej Europy ciągną na sukurs kapitały, szukając dla siebie korzystniejszego oprocentowania. Boć oczywistą jest rzeczą, iż kapitalista europejski będzie szukał najlepszej dla siebie lokaty, a tem chętniej w Stanach Zjednoczonych, gdzie wieści o dobrobycie gospodarczym zostały rozdmuchane do najwyższych granic. Trudno uwierzyć, iż Francja jedna przysporzyła spekulacji amerykańskiej zgórą $1^1/_2$ miljarda dolarów.

Podobny stan rzeczy nie mógł trwać bez końca. Wzrost kursów na giełdach amerykańskich doszedł do fantastycznych rozmiarów. Federal Reserve Board postanowiło zareagować.

Korzystając z okoliczności, iż wszystkie operacje przekazowe odbywały się za pośrednictwem Londynu, Federal Reserve Board skłoniło wszystkie oddziały banków amerykańskich w Anglji do podniesienia kosztów prowizji, aby móc tym sposobem zredukować do minimum różnicę zysku pomiędzy Londynem a New Jorkiem.

Pozbawiając jednocześnie u siebie brokerów kredytów wywołano sztuczną zwyżkę stopy call money'u do 20%, a tem samem w niwecz obrócono interwencję na kontynencie. Napływ obcych kapitałów wzmógł się z niesłabnącą siłą.

Spróbowano wówczas innego sposobu. Mając na względzie fakt, iż pozbywano się w Europie funtów na kupno dewiz dolarowych, co zaważyło na kursie dewizy angielskiej i Londyn począł, ratując sytuację, wysyłać do Stanów złoto — postanowiono zakupywać wszystek kruszec i pozostawiać go bez obrotu w skarbcach Federal Reserve Board. Nie obeszło się to bez strat dla amerykańskich instytucji, nie mniej jednak napływ kapitałów zagranicznych został ograniczony.

Przyszła wówczas kolej na zawodowych spekulantów. Przeczuwając rychły spadek kursów poczęli wyzbywać się portfeli, przyśpieszając tem samem odwrót na całej linji. Panika ogarnęła ogarnęła wkrótce szerokie sfery społeczeństwa i w przeciągu paru miesięcy kursy obniżyły się w szybszem nawet tempie od poprzedniej zwyżki. Katastrofa została zwłaszcza zdecydowana wskutek podniesienia stopy dyskontowej przez Bank Państwa Brytyjski.

Najkrytyczniejsze chwile przeżyto w New Jorku w ostatnich dniach października. Notowano wówczas w przeciągu tygodnia różnice, jak np. dla United States Steel — z $254^1/_8$ do 156, dla General Electric — z 390 do 182,25.

Interwencja banków, oświadczenia publiczne ze strony najpoważniejszych autorytetów finansowych — nie zdołały powstrzymać paniki. Doszło nawet do tego, iż urzędnicy giełdowi, mimo idealnego funkcjonowania aparatu Stock Exchange'u nie byli w możności ustanawiać w normalnym czasie notowań. Dość powiedzieć, że w ciągu 4-ch posiedzeń, na t. zw. ultimo października obroty wynosiły 60 miljonów dolarów, a zapotrzebowanie call money'u spadło o 2 miljardy dolarów.

Kryzys zakończył się tym razem prawdziwą klęską dla tysiącznych rzesz obywateli amerykańskich, zbałamuconych niezdrową spekulacją. Miejmy jednak nadzieję, iż psychika narodu znakomicie zaprawionego do pracy zbiorowej zdoła powrócić do równowagi. Tem łatwiej mu to przyjdzie, iż posiada wrodzony kult dla pionierstwa wytrwałości w osiąganiu zamierzonego celu i wielką dozę zmysłu praktycznego, połączonego z zupełnie specyficznym idealizmem.

Jedno tylko — boć to jest właściwym naszym tematem: jeśli pochop do spekulacji, która się zakończyła tak smutnie dla licznych rzesz w Stanach, nie jest objawem gorączki złota dla złota, jeśli naród dusi się wskutek nadprodukcji — to czemu nie powstanie w chwili spokojnej refleksji myśl stokroć pożyteczniejsza, pomnożenia zainteresowania nadmiaru kapitału poza własnemi granicami, w krajach bezustannie kołaczących o pożyczki inwestycyjne?...



Dramat w zrujnowanej rodzinie amerykańskiej („Life").







Zimowy widok portu w Gdyni.

J. SOSNKOWSKI

URODA MIAST PORTOWYCH

Mamy wreszcie port polski. *Gdynia* powstała z nicości, — portowe miasto polskie rośnie z dnia na dzień i z godziny na godzinę.

Bałtykowi przybywa nowy klejnot. Niedługo już, a zabłyśnie całym blaskiem i całą krasą.

Na jej cześć został popełniony niniejszy felieton. Oby tworzenie tego nowego miasta — morza przypadło w udziale ludziom, rozumiejącym i kochającym piękno swoiste, jakie jest właściwością wielkich przystani oceanicznych.

•

„Przez oko człowieka wygląda jego dusza". Oczyma gmachu są okna.

Jeśli zespół krajów składających się na dany kontynent, przyrównamy do zespołu budynków, to „oknami" ich są porty.

Porty więc tem samem są oczami krajów i narodów, — i przez nie wyglądają ich dusze.

Choć nasz „kraj-dom" nie jest mały, to elewację posiada przeraźliwie wąską. Przypomina nieco domki staromiejskie. Tembardziej więc należy pieczołowicie dbać o jedno, jedyne, cyklopie oko, *Gdynię*.

•

Tak jak w „oczach epok i stylów" — oknach, znać doskonale duch ich i nastrój, tak duch i nastrój narodów i krajów bije coraz innem zabarwieniem i charakterem z ich portów.

Renesans zdobił okna gmachów tympanonami, architrawami, poważnemi kolumnami. Dostojeństwo i godność patrzały oknami Odrodzenia.

Proszę spojrzeć na porty włoskie. Poważna zaduma, siła i sen o absolucie piękna, kołysze się na kobaltowych wodach przystani italskich. Na dalekich horyzontach, o schyłku dnia spromienionych zachodem, gwarzą echa wspaniałych dziejów, niby poszumem i tętentem, niby piciurą tysiąca brzęczących strun.

•

Barok owijał okno bogatą, ciężką ramą, niby tło, w które należy wstawić wspaniały obraz. Wystarczało, by w oknie barokowem ukazała się postać strojna w ówczesne szaty, by z martwego otworu ściennego stawał się wspaniały portret.

Duńskie, norweskie i szwedzkie porty żywo przypominają mi „oczy baroku".

Cicha, skupiona dusza Skandynawów wygląda z tych pełnych spokoju przystani. Nawet ruchy okrętów, — to ruchy statecznego obywatela — budowniczego dobrobytu kraju.

Takie gesty posiada jedynie zrównoważona, pewna siebie i celowa praca. Nic ze zbytniego pośpiechu, nic z gorączki. Swiadome swej siły, pełne ufności w osiągnięciu celu — *dążenie*.

Koloryt nieba i wód ma w sobie coś ze zmatowanego srebra, coś ze starych płócien starych mistrzów.

Port skandynawski ma oblicze poważnego, nieugiętego mędrca, człowieka istotnej pracy, pełnej zrozumienie swego posłannictwa.

•

Rococo, niby figlarnemi rzęsami kokietki, ozdabiało swe „oczy" — okna delikatnemi linjami, niby pociągnięciami tuszu do brwi, zalotnemi wy-



Przed wyruszeniem w podróż, kadłub okrętu jest szczegółowo badany.



Malowniczy widok portu w Neapolu.



Stary port w New Jorku. Na drugim planie drapacze chmur.

wijasami i wdzięcznemi kwiatkami, spadającemi gdzieniegdzie jak uśmiechy. Wygląda z nich beztroska, niefrasobliwa, roześmiana i rozśpiewana duszyczka epoki... Trochę lekkomyślna i piękna, jak piękna!

*

Wody i niebo francuskich portów śmieją się i wdzięczą już zdala, już z wód odległych. Pstro pomalowane barki, stateczki uwijają się tertycznie niby rokokowe tancerki po froterowanym parkiecie. W blaskach słońca, jak w kwiatach pławią się wesołe budowle. Niby pył brylantowy skrzą rozigrane fale. Ruch, gwar, rasowa nerwowość pienią się w porcie francuskim jak szampan w kielichu. Praca zdaje się tutaj być zabawą, — a ileż owoców wydała już ta pozorna beztroska!

*

Wyspiarskie, anglosaskie miasta wód, to styl „Chipendale" i „Królowej Anny". Oficjalne, dworskie, trochę ponure, jakby przesiąknięte tajemnicami wielorakich dynastji, nieco przeciążone własną wielkością i dumą. Wyniosłe są oście portowe, wyniosłe kadłuby transportowców i olbrzymich okrętów, zdobnych złoconemi tarczami i brytyjskiemi lwami. Flagi ich mają chłodny, pyszny wyraz. Niebo bodaj nachyla się tutaj ze sztywnym, bezpromiennym szacunkiem. Port angielski to lord-major odziany w aksamitne, rytualne szaty, z laską o złotej gałce.

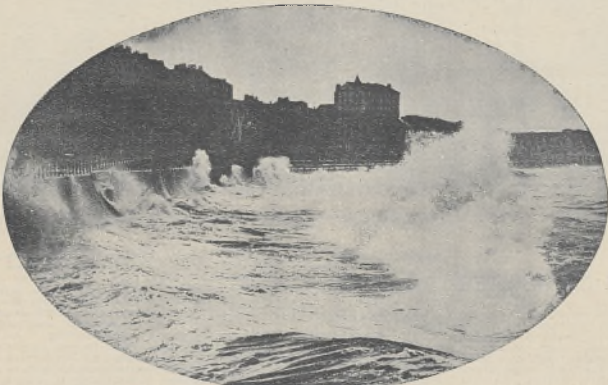
Wyobraźcie sobie państwo następujący widok: Wielkie jezioro o zmierzchu, kiedy głąb wody jest czarny, a brzeg — niby kraina mroków. I na brzegu, tuż nad wodą lampę, lampę o matowym kloszu i matowym kolorze światła. I jej odbicie w wodzie.

To Kopenhaga.

Albo wyobraźcie sobie państwo, że ktoś — odbicie księżyca w temże jeziorze wyciągnął na brzeg i porzucił nad samą wodą.

To też Kopenhaga.

Bałtyk w nocy lśni stu promieniami, a Kopenhaga, to miljon księżyców rzuconych na brzeg, — to miljony lamp matowych, urągających połyskom zórz polarnych.



Angielski port Scarborough nie należy do spokojnych.

W dzień miasto cudowne, jak najpiękniejsza z fantazji Andersena,—jest niby tysiąc mieczy, zatkniętych ostrzami do góry w zielonym dywanie.

Albo jeszcze inaczej. Tysiąc westchnień strzelistych, skamieniałych,—ręką dżyna stężonych w miedź, złoto i srebro.

. . . .

Garść klejnotów rzuconych na brzeg tacy z czarnej laki oto portret Amsterdamu.

W wąskich kanałach starego portu małe niziutkie domki zaglądają w ciemnozielone wody. Są mocno pochylone ze starości. Widziałem w jednej z uliczek tak wąskich, że dwu ludzi z trudem się tam minie, jeden domek przechylony tak... że ponad uliczką wsparł się o swego sąsiada z naprzeciwka.

*

(Dokończenie na str. 17-ej).



Flota wojenna w Villefranche.



Port w Koryncie.

Rysunek Edwarda Natolskiego, studjującego architekturę daje obfitość tematów fantastycznych, wśród których przeważają głowy ludzkie, a między niemi szkicowane nawet z pamięci portrety znajomych osób.

PROSPER SZMURŁO

RYSUNEK I CHARAKTER

Najmniej zwykle zastanawiamy się nad rzeczami i zjawiskami, codzień oglądanemi, oraz nad posiadanemi przez nas wszystkich właściwościami psychicznemi, zapominamy nawet często o ich istnieniu. Do takich właśnie właściwości należy i wyobraźnia, która jest jednak ważną częścią składową naszej psychiki i w której, jak i we wszystkiem, odzwierciadlają się nasze nastroje, upodobania, wogóle nasz charakter. Poznanie charakteru, nie tylko swego własnego, ale i innych, od których niekiedy zależy i nasz los, ma ważne znaczenie w życiu, nie należy przeto pomijać żadnej drogi, a nawet ścieżki, prowadzącej do tego celu.

Zajmując się już od kilku lat badaniami nad zakresem naszej wyobraźni wzrokowej i jej zależnością od rozmaitych przyczyn, postaram się obecnie dać próbę analizy osiągniętych wyników właśnie z punktu widzenia określania w ten sposób charakteru. Wyjaśnię wpierw w kilku słowach, że przeprowadzane przeze mnie doświadczenia, polegają między innemi i na przerysowywaniu ołówkiem na białym papierze, w odpowiednich miejscach, przeróżnych obrazów, o ile, naturalnie, dojrzy się je w niewyraźnym i mglistym deseniu, przypominającym nieco obłoki, na wybranej przeze mnie szaro-stalowego koloru tekturce, służącej, jako wzór, ten sam dla wszystkich badanych osób, pomimo co jednak prawie każda z nich widzi i odtwarza przeważnie zgoła co innego.



Rysunek wykonany przez młodziutką panienkę jest zdaniem autora artykułu niezmiernie trudny do zanalizowania, gdyż zawiera masę cech sprzecznych.

Przekonamy się niżej, że takie prawie zupełnie dowolne rysunki, pozwalają sądzić nie tylko o zdolnościach artystycznych wykonawców, co nas w danym wypadku nie interesuje, ale również i o wielu ich właściwościach i cechach psychicznych, nie mających nic wspólnego z umiejętnością rysunku.

Ilość i różnorodność narysowanych w ten sposób figur może być poniekąd sprawdzianem bogactwa wyobraźni, rodzaj zaś ich umożliwia wnioskowanie o upodobaniach, zainteresowaniach, przeżyciach, nastrojach i charakterze danej osoby, a nawet czasem o jej utajonych, lub jeszcze nieuświadomionych dążnościach oraz zdolnościach. Niekiedy zdarzają się niespodzianki, logicznie trudne do przewidzenia, naprzykład niektórzy zawodowi artyści-malarze rysują w tych warunkach daleko gorzej od dyletantów i mniej wprawnie, niż zwykle, lub nawet nic dojrzeć we wzorze nie mogą, co dowodzi, że wyobraźnia u nich mało jest rozwinięta, odwrotnie zaś, ludzie dość słabo władający ołówkiem, gdy chodzi o rysunek z natury, przy tego rodzaju próbach wykonywują nieraz rzeczy daleko lepsze, nie są bowiem wtedy zmuszeni niewolniczo odtwarzać jakiś model, a wyobraźnia ich niczem prawie nie jest skrępowana.

Czy wyobraźnia zależna jest od wieku? O ile mogę sądzić z posiadanego, obfitego już materjału — muszę na to odpowiedzieć twierdząco. U osób w późnym wieku i starców jest ona jakby zamglona i przytłumiona, u młodzieży zaś i dzieci bywa zwykle żywsza i bogatsza, u nich też, zdaje się, częściej przejawia się fantazja, której nie zdążyła jeszcze stłumić proza życia i walka o byt. Nie jest to, jednak, jakiemś prawem niezłomnem, zdarzają się pod tym względem znaczne odchylenia, o czem nie należy zapominać.

Najwięcej osób widzi na tekturce i przerysowuje

Rysunek wykonany przez Alfreda Natolskiego zdradza pewne podobieństwo do podanego tu obok rysunku brata jego, Edwarda. Nic dziwnego — pokrewieństwo odgrywa olbrzymią rolę. Przy bliższej analizie spostrzeżemy jednak inny kierunek fantazji twórczej.

twarze ludzkie, to nas bowiem zwykle najwięcej obchodzi, znacznie rzadziej kwiaty, zwierzęta, lub jakieś istoty fantastyczne.

Doskonałym przykładem słuszności tego założenia jest rysunek, studjującego na politechnice architekturę, p. Edwarda Natolskiego. Same prawie głowy i ani jednego kwiatu! Dowodzi to wymownie, że wszelkie desenie, obłoki i t. p. są tylko jakby magnesem, przykuwającym naszą uwagę, oraz bodźcem dla naszej wyobraźni, jakby kanwą, na której haftuje ona przeróżne obrazy, których tematy czerpiemy z własnej psychiki, niekiedy nawet z zaświadomych jej głębi. Cóż można powiedzieć o tym rysunku? Świadczy on o bogactwie wyobraźni wykonawcy z domieszką fantazji, nieco może tłumionej, o dobrej pamięci wzrokowej, jedna bowiem z głów jest dość podobna do mnie, choć nie byłem obecny podczas doświadczenia, o samodzielności, poczuciu piękna, opanowaniu techniki rysunkowej, oraz o sumienności i dokładności w pracy, co bynajmniej nie zawsze towarzyszy wyobraźni i daleko częściej można spotkać się z większem lub mniejszem niedbalstwem.

Zgóry już przewiduje, że, oglądając ten rysunek, większość czytelników pomyśli niezawodnie: — „Jakto, to wszystko ujrzane zostało w jakimś mglistym deseniu? Niepodobna! Poprostu zostało to skomponowane przez osobę, dobrze umiejącą rysować".

Przyznam się szczerze, że kiedyś i ja sam byłbym tegoż zdania, obecnie jednak, po dokonaniu licznych doświadczeń z bardzo wielu osobami i z sobą samym, nie mam już tych wątpliwości, przekonałem się bowiem o niezwykłej zdolności, a nawet dążności wyobraźni do uzupełniania widzianego do rekonstrukcji całości z małej nieraz części, z drobnego fragmentu, co można porównać, jakby do regeneracji. Wiadomem jest, że np. u jaszczurki odrasta odcięty ogon, wyobraźnia zaś nasza jest pod tym względem jeszcze potężniejsza, zdolna jest bowiem z ogona, że tak powiem, odtworzyć całą jaszczurkę.

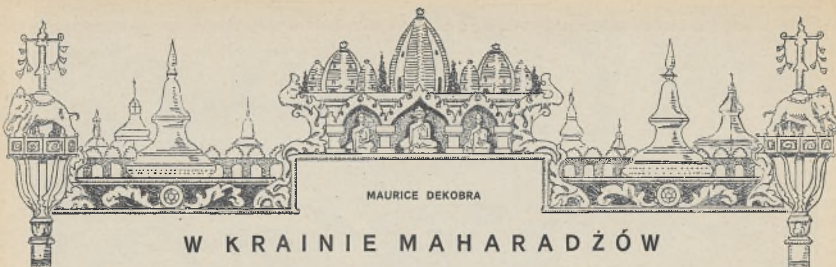
Zdolność ta wykorzystywana bywa w praktyce, spotykamy się bowiem często z rysunkami, przeważnie reklamowemi, w których oznaczone są tylko cienie, niema zaś wielu konturów, co nie przeszkadza do ich rozpoznania, w wyobraźni bowiem widzimy i owe brakujące linje. Im dłużej i uważniej wpatrujemy się w jakąś część desenia, przypominającą, dajmy na to, profil ludzki, tem więcej dostrzegamy szczegółów, których tam jednak wcale niema w rzeczywistości, a które wyłaniają się z naszej wyobraźni. Powoli zarysowuje się kształt głowy, niekiedy hełm na niej, lub dziwaczny kapelusz, potem jakby wyrasta szyja, następnie ramiona i w ten sposób tworzy się niekiedy cała postać, ginąca najczęściej bez śladu, jeżeli pragniemy ją znowu odnaleźć po pewnym czasie, gdy nasze skupienie się rozwiało i jesteśmy w innym nastroju, a myślami odbiegliśmy gdzieś daleko.

Czasem ten sam proces twórczy wyobraźni odbywa się nie tylko przy wpatrywaniu się w deseń, lecz i na białym papierze, gdy już przerysowujemy ujrzany obraz, przyglądając się bowiem swemu rysunkowi, niemal realnie spostrzegamy, że niektóre linje jakby wydłużają się i wyginają, ręka zaś nasza kreśli je prawie automatycznie..., a potem zarzucają nam, żeśmy komponowali, że tak powiem, z premedytacją, to jest po uprzednim wyborze tematu, wtedy, gdy w rzeczywistości twórcą była tylko nasza wyobraźnia, której biernie poddaliśmy się na chwilę.

(Dokończenie na str. 16-ej)



Rysunek, wykonany przez artystę, prof. Wodzinowskiego, zdradza od pierwszego rzutu oka łatwość w odtwarzaniu przedmiotów wyobraźni.



W KRAINIE MAHARADŻÓW

JEJ KRÓLEWSKA WYSOKOŚĆ — KROWA...

Byłoby rzeczą zgoła nieuczciwą mówić o Hindostanie, nie poświęcając mu, jeśli już nie modlitwy, to kilku wzruszonych słów o Krowie przez wielkie K.

Każdy kraj posiada jakieś zwierzę, które wyróżnia zpośród innych. Egipcjanin składa pod postacią boga Horusa hołd wołom, a Rosjanin pod maską boga Kawioru hołduje jesiotrom. W Indjach zwierzętami uświęconemi są woły, krowy, byki i cielęta... Od niepamiętnych wprost czasów ludność tutejsza żywi kult religijny dla tych przeżuwaczy, które, wyzyskując jakby tę słabość, są tutaj powolniejsze i bardziej obojętne na wszystko, co ludzkie...

W Europie — dziwna to sprawa! — krowy należą do obory lub do pastwiska. Tutaj — oborą krowy jest jezdnia, a chodniki jej łąką. Wychodzisz z bramy jakiegoś domu i potykasz się o śpiące na chodniku cielę; przechodząc z jednej strony ulicy na drugą, musisz, chcąc się przedostać, przepuścić krowę, która się nią przechadza, a jeśli przejeżdżasz samochodem, musisz objechać, aby nie przewrócić pełnego nonszalancji wołu, który, stojąc pośrodku ulicy, przeżuwa kilka suchych liści, lub nieużytecznych myśli...

Począwszy od maleńkiego cielaka, zaledwie tak wysokiego, jak pies myśliwski, a skończywszy na potężnym, gęsto owłosionym bawole z nasrożonemi rogami, spotyka się tę dziwną faunę na wszystkich ulicach miast indyjskich między Peszawar a Colombo. Pewien Francuz, mieszkający w Indjach od dwudziestupięciu lat, powiedział mi:

— U nas zastanawiają się niekiedy ludzie nad tem, o czem marzą młode dziewczęta... Odkąd tu jestem zapytuję się wciąż sam siebie, choć zawsze bez odpowiedzi, o czem marzą te małe krówki...

Ponieważ religje indyjskie nie pozwalają nietylko na ich zabijanie, lecz nawet na najlżejsze sprawianie im bólu, żyją krowy tutejsze szczęśliwie, jak w odnalezionym raju. Szczęśliwe? To może lekka przesada, bo łąki z zieloną trawą są tu istotnie rzadkością. Podczas miesięcy bez deszczu, pokarm krów nie zawiera obfitych wartości pożywnych: zeschłe liście, wysuszone żarem badyle zielska przyprószone pyłem lub odklejone stare afisze — oto ich strawa codzienna.

Nie bardzo jeszcze wierzyłem w świętość krowy, gdy pewnego dnia zobaczyłem przypadkowo na ulicy krowę, która, przeczuwając jakby me wątpliwości, przystanęła i zrosiła zakurzoną uliczkę zapomocą swych najbardziej naturalnych środków. Nie zwróciłbym zapewne większej uwagi na tę banalną w gruncie rzeczy sprawę, gdybym nie zobaczył nagle człowieka, który, wyszedłszy z nędznej swej lepianki, przyklęknął nad świeżo powstałą kałużą, zanurzył w niej obie swe dłonie i rozpoczął wcierać w swe policzki produkt boskiego zwierzęcia.

Tym razem pojąłem już jakie znaczenie mają w tym kraju zwierzęta przeżuwające, to też oddaliłem się, jaknajprędzej, w obawie, że ów dzielny wieśniak zbliży się do mnie gościnnie racząc owym szacownym płynem...

Ubogi wieśniak hinduski lubi jednak swą krowę, choć nie otacza jej specjalną opieką. Lubi ją, bo jest ubogi, a krowa pozwala mu często nie umrzeć z głodu. Istotnie, należy zwiedzić te nieprzeliczone wioski i osady hinduskie, znajdujące się daleko od owych miast, pełnych dzieł sztuki i wspaniałych świątyń, które tworzą marszrutę śpieszących się turystów, „robiących Indje" w przeciągu czterdziestupięciu dni, — trzeba, powtarzam, zwiedzić owe niezliczone wioski hinduskie, aby zdać sobie sprawę z nędzy wieśniaków w Indjach.

Jak żyje wieśniak hinduski? W lepiance, której ściany zrobione są z suszonego mułu, a dach — z zebranych liści. Wejście bez drzwi, a za niem — dwie izby bez okien. Na ubitej ziemi barłóg — oto jest łoże. Kilka kamieni, śród których tli się pod popiołem ogień — oto jego kuchnia. Model z r. 1000 przed nar. Chrystusa. Jeden metr białego płótna, owiniętego dokoła bioder, — tworzy całą jego garderobę. Wieśniak hinduski nie umie ani pisać, ani czytać i nie widział, oczywiście, nigdy gazety; nie pali tytoniu, nie pije ani wina, ani alkoholu; nie rozumie znaczenia słowa: rozrywka. Słowem, — nie żyje, lecz wegetuje; lub raczej czeka aż zbyt natężona praca nie wyczerpie go i nie zabije go głód, panujący w okolicy.

Na 320 miljonów mieszkańców jest w Indjach 250 miljonów takich, którzy z ojca na syna nie znali w życiu nic poza nędzą opłakanej egzystencji. To też my, Europejczycy, rozkapryszeni nieprzyzwoitym wprost zbytkiem, jesteśmy przerażeni, gdy nas biorą na świadków tej straszliwej nędzy, jaka panuje tu nad miljonami tych pierwotnych istot.

— Dziwne! — wykrzyknie ten i ów zdezorjentowany podróżnik. — Dlaczego i skąd ta nędza w kraju, który jest bogaty i obfituje w ziemię uprawną?!

Odpowiedź będzie następująca: ziemia ta, choć uprawiana przez wieśniaka, produkuje mało. Nie jest to winą braku dobrej woli, lecz — w przeciwieństwie do legendy, — wina tkwi w braku dobrej gleby. Z jednej strony bowiem ziemia daje zbyt małe zbiory z powodu braku nawozu, z drugiej znów strony, jeśli urodzaj jest wyjątkowo dobry, lwią część zbioru zabiera właściciel ziemi, pozostawiając kulisom odpadki, wystarczające zaledwie na opędzenie najkonieczniejszych potrzeb.

Ziemia nie otrzymuje nawozów, ponieważ rolnik jest tu zbyt biedny, aby je kupował. Lecz jaką rolę odgrywa w tym dramacie 210 miljonów rogacizny, figurującej w statystyce rządowej? Mogłaby odegrać rolę decydującą. Niestety, chłop indyjski nie potrafi jej narzucić tej roli. Widziałem w licznych wioskach stare kobiety, wyrabiające placki z ekskrementów rogacizny. *Placki te służą jako bezpłatny pokarm.* Indje są zadziwiającym krajem, w którym *spala się gnój* zamiast używać go jako nawozu, ożywiającego ziemię! To, co w Europie jest wyjątkiem, staje się tutaj zasadą. A jeśli się go nie pali, to oblepia się nim ściany domów, bo wszystko, co pochodzi od krowy, jest — w stanie płynnym, czy trwałym — świętością.

Chłopi ogrzewają się w ten sposób, ponieważ drzewo jest rzadkie, lub za drogie na ich kieszeń. Co z tego wynika? Ziemia ubożeje z każdym rokiem, a wydajność nasion na hektar jest o wiele niższa niż w Europie. Łatwiej może zrozumiemy herezję agronomiczną kulisów indyjskich, gdy porównamy te dwie cyfry: w Indjach: przeciętnie zbiór wynosi 200 kilogramów na pół hektara, w Anglji — 1000 kilogramów!

Oto stoimy u węzła problemu agrarnego, zajmującego wszystkich ekonomistów, pragnących zwiększenia produkcji rolnej Cesarstwa. Byłoby to jednak rzeczą zgoła niebezpieczną chcieć go rozwiązać, lub choćby nawet tylko naszkicować zapomocą kilku słów. Powróćmy więc do naszych owiec, lub raczej krów i uznajmy, że te przeżuwacze są istotnem błogosławieństwem dla proletarjusza roli. Ikonografja daje na to liczne dowody.

Niedawno temu odkryto w Mohandżo-Daro i w Harrapa szczątki dzieł sztuki hinduskiej, powstałych 3500 lat przed nar. Chrystusa. W niektórych miejscach udało się nawet wydobyć na światło dzienne domki i sklepy w całości. Cywilizacja Indyj jest starszą o 5400 lat od cywilizacji heleńskiej, datującej od około 327 lat przed nar. Chrystusa, i przewyższa cywilizacje egipską i babylońską. Otóż woły i krowy dawały już w tej zamierzchłej epoce natchnienie artystom. Od tego czasu krowa nie przestała interesować rzeźbiarzy, czy malarzy. Podziwiałem w Tandżore kompozycję, poświęconą Krisznie i jego żonom; małżonki boga znajdują się w półcieniu, podczas gdy na pierwszym planie znajduje się okazała biała krowa, liżąca boskie stopy; w górnych kątach obrazu dwie małe krówki, niewiększe od fox-terrierów, zastępują w kompozycji rolę naszych aniołków.

W świątyni Sivy w Triszinopoly można zobaczyć boga, trzymającego swą małą żonkę pod jednem z swych lewych ramion; powiadam „małą żonkę" nie przez brak szacunku dla religji, lecz tylko dlatego, że pod względem wielkości swej postaci żona ta nie przewyższa pięcioletniej dziewczynki. Siva z małżonką siedzą tam na wspaniałej krowie, ustrojonej, jak koń cyrkowy, a dookoła jej nóg wiją się złote łańcuchy i perły...

Biedne krowy z 1929 r.!... Jakżeż ubogo wyglądacie obok tych świetności, gdy się przechodzi dziś obok was, śniących w słońcu o dalekiej, tłustej trawie! Kilka dni temu, przejeżdżając na koniu wzdłuż starego fortu Putjala, zauważyłem krowę, która, żując podartą kartkę *Pioneer'a*, dziennika z Allahabady, spoglądała na mnie pełna melancholji i smutku. We Francji stare rękopisy poetów służą niekiedy do owijania garnków z konfiturami; w Indjach tekst prozatorów kończy niekiedy swój żywot w żołądku malej krówki.

Zaiste! zarówno na Wschodzie, jak też na Zachodzie los nie opuszcza okazji, by przekonać ludzkość, jak nikłą i kruchą jest wszelka sława literacka.

(C. d. n.).

RYSUNEK I CHARAKTER

(Dokończenie ze str. 13-ej).

Dosyć jednak narazie teorji i przypuszczeń, przyjrzyjmy się lepiej innemu zgoła rysunkowi. Znów spostrzegamy bujną wyobraźnię i wybujałą fantazję. Spostrzegamy w nim pewne, powierzchowne podobieństwo do poprzedniego rysunku, ujawniające się głównie w sposobie cieniowania, tworzącego jakby ciemne tło dla obrazów. Można to łatwo wytłómaczyć pewnem naśladownictwem samej techniki wykonania, zupełnie tu zrozumiałem, rysował bowiem p. Alfred Natolski, rodzony brat wspomnianego już wyżej p. Edwarda N. Jaka jednak olbrzymia różnica, jaka różnorodność tematów! Mamy tu i różne zwierzęta i żołnierza, biegnącego do ataku i najdziwaczniejsze twory fantastyczne i całe sceny, naprzykład pożar domu, zatonięcie statku, z komina którego dym, kłębiąc się, tworzy ludzkie twarze, katastrofę aeroplanową, grożącą lotnikom niechybną śmiercią, oczekującą już w postaci szkieletu na swoje ofiary i t. d. Fantazja tu zdaje się nawet przewyższać wyobraźnię.

Kimże jest wykonawca, posiadający bezsprzecznie duże zdolności, powiedziałbym nawet przebłyski talentu, jaka jest jego profesja, od jak dawna trudni się rysunkiem? Rysuje już od paru lat, ale tylko dla własnej rozrywki i przyjemności przeważnie statki na morzu, gmachy, ulice, a nie ludzi i wyłącznie z fantazji, w wolnych chwilach rzeźbi też nieco w plastelinie, niema dotychczas żadnej określonej profesji i waha się jeszcze nad jej wyborem, czemu nie można zbytnio się dziwić, p. Alfred Natolski bowiem liczy sobie obecnie zaledwie lat 10, wyraźnie dziesięć, nie jest to błąd zecera. Trudno uwierzyć, prawda? Tak jest jednak w rzeczywistości.

Rysunek dolny na str. 12 trudny jest do zanalizowania i niełatwo domyśleć się, kto jest jego autorem, w każdym razie osoba, obdarzona zarówno wyobraźnią, jak i fantazją, mająca zamiłowania i zdolności rysunkowe i różnorodne zainteresowania i aspiracje, nieskrystalizowane w jednym kierunku. Charakter dziwny, nie jednolity, trudny do określenia, przedstawiający zespół cech sprzecznych, z których to te, to tamte przeważają; nie zadawalnianie się życiem realnem, pewne skłonności do mistycyzmu i tajemniczości. Gdybym nie wiedział, że wykonawczynią jest młodziutka p. Hanna Dobrowolska, wahałbym się wypowiedzieć, czy rysował mężczyzna, czy też kobieta i w jakim wieku.

Zwróćmy wreszcie uwagę na rys. na str. 13. Nie znać w nim najmniejszego wysiłku. Śmiałe, zdecydowane linje tworzą, jakby od niechcenia, szereg figur i postaci. Już na pierwszy rzut oka, choćby nie było podpisu, z łatwością można domyśleć się, że kreśliła je wprawna ręka prawdziwego artysty, posiadającego żywą wyobraźnię. Istotnie, rysunek ten naszkicował, na moją prośbę, znany i zasłużony artysta-malarz, prof. Wincenty Wodzinowski w Krakowie.

Jakież wnioski można wysnuć z opisanych doświadczeń?

1. Kroczenie po linji najmniejszego oporu, a więc wybieranie z wielu widzianych tych tylko obrazów, które wskutek, przedtem nabytej wprawy, najłatwiej dadzą się przerysować, np. kwiatów, przez osoby, trudniące się sztuką, stosowaną i malujących, lub haftujących przeważnie kwiaty. To samo prawie można powiedzieć o spostrzeganiu i przerysowywaniu obrazów, podobnych do pierwszego dostrzeżonego, np. szeregu głów, liści i t. p., do czego przyczynia się pamięć wzrokowa i co nie wymaga większego wysiłku wyobraźni.

2. Wpływ najczęściej i najdłużej widywanych przedmiotów i obrazów, lub takich, które w danym okresie najwięcej badaną osobę interesują. W pewnej szkole, np. dwaj uczniowie, zupełnie od siebie niezależni, jednocześnie przerysowali z tego samego wzoru (w postaci dużej, nieregularnej plamy) buty i trzewiki, jakich nikt inny na wzorze nie widział. Okazało się, że obydwaj byli synami szewców.

3. Uzupełnianie przez wyobraźnię braków w dostrzeżonych obrazach i modyfikowanie ich.

4. Powtarzanie tych samych rysunków, niezależnie od wzoru, co świadczy, że tkwią one gdzieś w zaświadomości i są indywidualną właściwością naszej wyobraźni i fantazji.

5. Świadoma lub zaświadoma selekcja dostrzeżonych obrazów i odrzucanie tych, które daną osobę rażą swą karykaturalnością, sprzeczne są z jej poglądami estetycznemi, lub etycznemi, odbiegają od przyjętych kanonów, nie wiążą się z sobą w logiczną całość, i t. p. Należy nadmienić, że selekcja przejawia się dwojako i wręcz przeciwnie. U jednych, więcej oryginalnych, o umyśle bardziej samodzielnym, w wyborze obrazów dziwacznych i ignorowaniu zwykłych, szablonowych, — u drugich zaś naodwrót, w unikaniu wszystkiego, odbiegającego od przeciętnej normy, do jakiej przyzwyczaiło się już nasze oko i która ich poniekąd jakby sugestjonuje.

URODA MIAST PORTOWYCH

(Dokończenie ze str. 11-ej).

Cherbourg i Havre to dwaj bracia z czułością zgodnie obejmujący za szyję La Manche'y, Północne morze. Cherbourg bez kwestji jest blondynem, Havre pięknym brunetem. Blondyn rozłożył się rozkosznie na sennym brzegu normandzkim, niewinnie napozór wpatrzony w daleki brzeg angielski, — zasnuty egoistycznemi mgłami. W gruncie rzeczy to sztych szpady, wymierzony przez Napoleona w serce dumnej wyspy...

Havre, stary awanturnik bez jednego siwego włosa! Chmurzy się często, gniewa i zrzędzi. Boże! Ileż wtedy wycierpią nieszczęśliwi pasażerowie, dążący z Trouville na chybotliwym stateczku! W szynkach marynarskich, w zawisłej, dymnej, kwaśnej atmosferze przewalają się wszystkie nacje świata.

Włócząc się kiedyś nocą po ciasnych, krętych uliczkach, zaszedłem do szynku doszczętnie wypchanego marynarskim tłumem.

Poza żeglarzami różnych nacji, sporo było czarnych żołnierzy któregoś z portów afrykańskich, stacjonowanego tutaj na odpoczynek.

W pięć minut po mojem wejściu jakiś kolorowy, pokłóciwszy się z amerykańskim majtkiem o usługującą dziewczynę dobył swego krzywego noża. Ledwie błysnęła stal w powietrzu, wspaniale wymierzony knock-aut zwalił murzyna z nóg przyczem nieszczęśnik, padając, nadział się na ostrze swego własnego krisa, czyli krzywego noża. Po chwili dogorywał... Los chadza różnemi drogami...

*

Gdańsk wdzięczy się blaskiem, zielonych morskich oczu, wabi bielą polerowanych kafli niby błyskiem młodych, zdrowych zębów, powiewa koronką zwiewnej architektury, lśni miljonem skrzeń w maleńkich wdzięcznych szybkach, olśniewa bogactwem niezliczonych kątów i zakątków, tak miłych, jak dołeczki na policzku kochanej dziewczyny.

Biedny ten, kto nie był w szare popołudnie wewnątrz Marjackiego kościoła, nie obejrzał rzeźb misternych i niemej pieśni, wygrywanej przez niebotyczne witraże na kamiennej posadzce!

I szkoda, by nie posłyszał żadnej z pięknych jego legend. Postaram się opowiedzieć jedną.

W kaplicy „Jedenastu tysięcy dziewic" Chrystus rzeźbiony na krzyżu oddany jest z taką ekspresją, że zdaje się, iż drzewo żyje i cierpi, że gwoździe, któremi jest przybity drą żywe ciało, osuwające się ku dołowi...

*

W małym domku przy kościele, żył stary snycerz, zakochany w swej świątyni i w córce swej, jasnowłosej Elzie, słynącej z urody na Gdańsk cały. Stary mizantrop, nienawidzący ludzi, maltretował młodą dziewczynę, izolując ją zazdrośnie od świata. Mogłaby łacno paść ofiarą zuchwałego freibitra, pozostającego w służbie króla polskiego, Augusta, bo setki tych zabijaków-żeglarzy kręciły się po mieście.

I stało się tak, że Elza, spostrzegłszy kiedyś podczas mszy młodego junaka, freibitra, poczuła, że w sercu i duszy zapłonęły jej ognie.

Widywali się tylko zdaleka, tak się jakoś składało, młody marynarz zawsze był pod oknem ich domku wówczas, gdy ona tęsknie wyglądała przezeń oddając się cichym marzeniom.

Stary zazdrośnik podpatrzył wkrótce niewinne schadzki. Cierpł na myśl samą, co będzie, gdy wojak zabierze mu ją, gdy zostanie sam.

Nieprzeparty egoizm starca cierpiał nad miarę, znienawidził młodzieńca, i w steranym umyśle jęła kiełkować okrutna idea.

Oddawna nosił się z myślą wyrzeźbienia postaci Chrystusa, do kaplicy Jed. tys. dziewic, — a chciał Chrystusa i jego mękę oddać tak, by ludzie płakać musieli na jego widok.

Pewnego wieczoru, zatulony w opończy, z latarką w ręku powlókł się pod „—— bramy", siedlisko złodziejaszków i zbójów.

Długo o czemś rozprawiał z dwu tęgimi zbirami.

Nazajutrz zdumiał się nasz freibiter, gdy przyszedłszy jak zwykle, pod domek ukochanej zastał drzwi uchylone.

Serce skoczyło mu jak ryś do jadła, gdy ujrzał w oknie Elzę...

Susem jednym dopadł ciemnej sieni.

Ocucił się dopiero w pracowni starego snycerza, skrępowany.

Szatańskim uśmiechem wykrzywiała się twarz artysty.

Oczy mu zapłonęły sępiem, ponurem światłem.

Skinął na oprawców, a ci, zaknebłowawszy usta jeńcowi rozkrzyżowali mu ramiona na szerokich, rzeźbionych drzwiach i przybili dłonie i nogi wielkimi gwoździami, jak Chrystusowi.

Pięć dni trwała robota, podczas których wściekły starzec zakuł w drzewo mękę młodzieńca, powoli dogorywającego z bólu i głodu. Szalony starzec nic mu jeść nie dawał...

Smutne przeczucie ściskało serce Elzy.

Gdy zabrzmiało głucho ostatnie uderzenie dłóta, freibiter zakończył życie.

O zmroku zaprowadził snycerz córkę do kaplicy, gdzie została ustawiona rzeźba.

Sam poczuł zimno w piersiach, takim wyrazem grozy oblewały ostatnie promienie zachodzącego słońca tron męczennika.

Elza stanęła jak skamieniała, wreszcie bez słowa, bez jęku jednego wybiegła z kościoła.

Po twarzy Chrystusa spłynęły dwie krwawe łzy i padły na głowę starca. A ten wreszcie pojął cały bezmiar świętokradzkiej zbrodni.

Gdy dobiegł za Elzą w to miejsce na kanale, gdzie rozchodziły się tylko ostatnie rozchybotane kręgi, rzucił się bez namysłu za swą nieszczęśliwą córką w rozedrgane jeszcze wody.

*

Jakąż twarz odsłoni nam, po dojściu do pełnoletności Gdynia? Już teraz uchwycić można niejasne szczegóły, wróżące pochlebnie niezwykłej piękności tego podlotka w przyszłości.

Już Kamienna Góra pełnemi róż tarasami przegina się ku morzu, zaglądając mu w serce.

Prorokuję małżeństwo z miłości tej parze nadobnej: Bałtykowi i Gdyni.

Imci Pan Bałtyk interesuje się mocno tajemniczą nieznajomą, przybyłą z głębi Polski. Ożywiony, zaciekawiony, czyste fale wyrzuca na brzeg, niby swatki.

*

Czyż można wymarzyć lepsze i bardziej nęcące warunki dla architektów i malarzy, jak tworzenie nowego, od początku nowego miasta?

Gdynia, jeśli się narodzi brzydka i niewyraźna, rzec będzie można, że niema w Polsce architektów, że niema w Polsce serc, kochających morze i rozumiejących je, — że niema w Polsce artystów!

Ale to, co dotąd powstało na bałtyckim brzegu budzi cudowne nadzieje. Obyśmy jaknajprędzej o krasym wschodzie słońca, —— z niebem i morzem mogli spłonąć rumieńcem zachwytu nad polskim klejnotem w koronie Bałtyku, nad prawdziwym, polskim portem!

J. J. RENAUD 8)

CZARNA SZPILKA

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW.

Banda opryszków, dowodzona przez tajemniczego przywódcę „Heblis", jest prześladowaną przez policjanta-amatora Barnèza, któremu zamordowano ojca. Barnèze również broni p. Lucyny Mouriade, prześladowanej przez Heblis. Lucyna zostaje porwana przez opryszków, jednak Barnèze ją ratuje. Wynajmuje jej nowe mieszkanie dla zmylenia śladów. Heblis odkrywa mieszkanie Lucyny, organizuje, na szczęście nieudany zamach. Następnie porywa Lucynę podstępem i zwabia do siebie Barnèze'a.

— Plan mój musi być doprowadzony do końca. Albo Heblis stanie się sławnym, albo zniknie z tego podłego świata... Oto jest moja szczera odpowiedź!...

Słowa te wyrzekł ponuro i z namaszczeniem.

Czy przypadkiem nie był on szalonym?... Tego rodzaju logika jest charakterystyczną dla obłąkanych...

Co należało czynić?!... Przedewszystkiem zyskać na czasie!...

Po chwili namysłu, Barnèze zaryzykował następującą propozycję:

— A gdybym tak postarał się załatwić sprawę polubownie, pomiędzy tobą a panem Darbelasse?...

Twarz Heblis, dotychczas spokojna i nieprzenikniona, zmieniła się momentalnie. Wykrzywiła się złośliwie i przybrała maskę niemal szatańską.

— Swietnie! Barnèze!... Myśl przednia!... Cóż ty chcesz wzamian za tę przysługę?... Napewno pozostawienie w spokoju tego ohydnego Darbelassa... Ha! zobaczymy! pomyślimy o tem!...

— Gdzie jest pani Lucyna Mouriade?... Żądam, ażebyś nas oboje uwolnił!... Oto będzie moja cena!...

W tej chwili zadźwięczał dzwonek telefonu. Heblis zaczął słuchać przez chwilę, poczem powiedział głosem znudzonym: „Dobrze, zaraz przyjdę".

— Ty mi stawiasz cenę?... — zwrócił się po chwili do Barnèza, — mnie?... Cóż ci za myśli przychodzą do głowy?... Targować się z Heblis?... Jesteś jszcze niedoświadczony, młody człowieku!... Musisz mi być posłusznym!... Merlot!... Popilnuj no tego chłopca!... Gdyby był niegrzeczny, zaaplikuj mu kilka kul do żołądeczka... Przypuszczam, że ci to zrobi przyjemność... Barnèze!... Idę na obiad i niedługo znów będę ci służył towarzystwem!... Tobie i pani Mouriade!... Trochę ją będą torturowali w twojej obecności, ażebyś się nauczył na przyszłość posłuszeństwa... Jeden z moich chłopców pochodzi z Chin i zna się bardzo dobrze na wszystkich drobnych przykrościach, które tam stosują z powodzeniem... Niewidziałeś tego nigdy?... Ah! to bardzo źle!... To jest bardzo ciekawe i napewno będziesz tem zbudowany!...

. . . .

Barnèze, siedząc wciąż bez ruchu, ze związanemi rękami i nogami, przyglądał się uważnie swemu strażnikowi, Merlot, przed którym, na stole, leżał olbrzymi rewolwer.

W sąsiednim pokoju siedziało czterech mężczyzn. Poprzez zamknięte drzwi słychać było, że grają w karty, klnąc przytem i złorzecząc wzajemnie.

Co należało czynić?... Pytanie to zadawał sobie Barnèze po raz tysiączny... Był zgubiony... Jedyny ratunek widział w głupocie swego dozorcy...

— Żal mi cię ogromnie Merlot!... Czy mnie zastrzelisz, czy też nie, wszystko jedno, ten sam los cię czeka!... Deibler!... Czy słyszysz!.. Deibler!... A Deibler, z którym się spotykają pewni ludzie, przed więzieniem *la Santé*, wczesnym rankiem, kiedy wróble się budzą i zaczynają ćwierkać, Deibler, nie jest wtedy osobliwością miłą i pożądaną!...

— Jeżeli się ruszysz, natychmiast cię przedziurawię!...

— Przecież widzisz, że się nie ruszam!... Oczekuję spokojnie, na moich kolegów z Prefektury, którzy napewno wsiadają w tej chwili do autobusu... No, dalej!... Czemu mnie jeszcze nieukatrupiłeś?... Przecież chcesz chyba zasłużyć na nazwę największego idjoty na świecie?...

— Coś mi zaczynasz kręcić...

— Kręcić?... Niedługo się przekonasz, czy ja kręcę!...

— Zresztą powiemi ci jeszcze co innego: jeden z twoich towarzyszy stale cię śledzi!... Nie uwierzysz!... Jest to szczera prawda!...

— Zawsze wpadasz!... Takie masz widocznie mizerne szczęście!... Pamiętasz, wtedy na granicy, kiedy ciebie zaaresztowałem!... Otrzymałem na ciebie donos!... Teraz cię czeka ta sama historja...

— Któż to chce mi karku skręcić?...

— Jeden z tych czterech, którzy grają w tamtym pokoju w bridge'a!...

— Który to z nich?...

— Mów ciszej!... Zaraz się dowiesz!... Tylko mnie rozwiąż!...

— O! z tego to nic nie będzie!... Nie myśl, że jestem tak głupi!...

— Masz rację!... Wiernie spełniasz wydane ci rozkazy!... Uczyń tylko dla mnie jedną grzeczność!... Mam przecież ręce związane na plecach i nie mogę nawet palcem kiwnąć... a chce mi się djabelnie palić... Weź moją papierośnicę, otwórz

ją i podaj, a ja sam sobie wyciągnę papierosa... Potem jak mi dasz ognia i ja się zaciągnę, powiem ci, który z nich porozumiewa się z Prefekturą...

— Zgoda!... Ale jeżeli nie dotrzymasz słowa!... Biada ci!...

Mówiąc to Merlot podsunął otwartą papierośnicę nawprost twarzy Barnèza.

Ten, z trudem wyciągnął papierosa, który był trochę większy od pozostałych, poczem trzymając go pomiędzy wargami powiedział do Merlot, głosem cichym:

— Ani jednego ruchu, ani słowa, bo umrzesz!... Czy ty wiesz, co to jest *curara*, powinieneś był się dowiedzieć o jej własnościach, z powieści Juljusza Verne'a!... Indjanie amerykańscy zatruwają końce swych strzał *curarą*... Najmniejsze zadraśnięcie powoduje śmierć, w przeciągu dziesięciu sekund!... Strzały te wydmuchują przy pomocy rurki!... A teraz uważaj!... W tej chwili trzymam w ustach taką rurkę z kości słoniowej, zrobionej w kształcie papierosa... Wystarczy mi tylko lekko dmuchnąć, żeby wpakować ci w ciało drobny pocisk, od którego momentalnie zginiesz... Mogę dmuchnąć w ciebie!... Jeżeli natomiast, rozwiążesz mnie, umkniemy stąd obaj... Otrzymasz jutro rano pięć tysięcy franków i wolność!... O ile się nie zgadzasz na moją propozycję, zginiesz!... Nie ruszaj się z miejsca, nie odwracaj głowy, bo dmuchnę!... I nie trzęś się tak idjoto, ze strachu, bo nie możesz mi przeciąć więzów!... Tak dobrze!... A teraz w nogi!... O nie!... Rewolwer to ja wezmę, nie ty!... Bo jeszcze ci strzeli do głowy ochota do zmiany postanowienia!... A teraz, trzeba będzie trochę popsuć partyjkę bridge'a, tym dzielnym chłopakom!...

— Nie!... Tędy jest drugie wyjście!... Ale tych pięć tysięcy, jest pewnych?!...

— Ależ tak, ruszaj się prędzej!... Przyjdzisz jutro rano do Prefektury!...

Wyszli na kręty zaułek jakiegoś przedmieścia. Niedaleko widać było bulwar, po którym krążyły taksówki.

Barnèze schował do kieszonki od kamizelki fałszywy papieros, który napędził tyle strachu głupiemu Merlot'owi. Papieros ten, którego może każdy kupić u pierwszego lepszego aptekarza, nie zawiera w sobie *curary*, ani żadnej innej substancji śmiercionośnej, lecz watę, nasyconą gomenolem, środkiem, służącym do oddychania przy chorobie gardła...

— Oni sobie grają w bridge'a — mruknął Barnèze, — a ja teraz zagram w pokera!...

PRAWDZIWE OBLICZE.

Tego samego dnia, o godzinie ósmej wieczór, Barnèze, targany dziwnym niepokojem, udał się na inspekcję służby bezpieczeństwa, pilnującej pięknego pałacyku pana Darbelasse, przy ulicy Rembrandt. Stwierdził z zadowoleniem, że agenci znajdowali się bez przerwy na swoich posterunkach i czujnie pilnowali domu.

W pewnym momencie przyszła mu ochota porozmawiać z panem Darbelasse. Przypuszczał, że ponieważ osoba Darbelasse'a była obecnie przedmiotem napaści Heblis, mógł przypadkowo natrafić na jakieś ślady, względnie uzyskać wyjaśnienie pewnych ciemnych stron całej sprawy. Znał już przecież Heblis z tej strony, że się lubiał chwalić i chełpić. A może zatelefonował do Darbelasse'a i oznajmił mu: „Pewna dama, która stała się moim wrogiem, została przezemnie schwytaną i znajduje się obecnie stąd niedaleko".

Na stukanie Barnèza uchyliły się drzwi do połowy i wysunęła się głowa lokaja Darbelasse'a. Szepleniąc, powiedział głosem przytłumionem:

— W tej chwili pan Darbelasse śpi!... Jeżeli go obudzę, będzie się na mnie gniewać!... Ale jeżeli pan tak nalega, to będę próbować!...

— Ah! nie! niepotrzeba... Przyjdę innym razem...

— Bardzo dobrze, że pan nie chce wejść!... O ile się panu bardzo nie spieszy, proszę przyjść jutro rano... To będzie najlepiej...

— Dobrze!... Dobranoc!...

Barnèze wszedł do parku Monceau. Otworzył mu nocny stróż... Usiadł na ławeczce, z której mógł swobodnie obserwować okna gabinetu Darbelasse'a, położone na pierwszem piętrze... Po jakimś czasie wstał z ławki i zaczął się przechadzać tam i zpowrotem... Zatrzymał się przed tabliczką z napisem *rue Rembrandt* i zaczął jej się bacznie przypatrywać... Nagle, twarz mu się rozjaśniła radośnie.

Szybko wskoczył do przejeżdżającej taksówki i krzyknął adres tak dziwnie zmieszanym głosem, że szofer zmierzył podejrzliwym wzrokiem swego pasażera i miał ochotę wezwać policjanta...

— — — — — — — —

Mniejwięcej w godzinę po wyżej opisanych wypadkach, Lucyna Mouriade, która siedziała związana w fotelu, w gabinecie pana Darbelsse, poczuła, że jej zdejmują opaskę z oczu... Opaskę tę miała na sobie od paru godzin...

Ujrzała Heblis, siedzącego przy biurku!... Heblis, który śmiał się szyderczo i muskał ręką swe podkręcone, małe wąsiki...

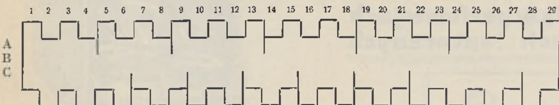
— Dobry wieczór! piękna Lucyna, może nareszcie popatrzeć na świat swemi niebieskiemi ślepkami!... — powiedział swym włoskim akcentem. — Nareszcie tak się szczęśliwie złożyło, że znów mam wielką satysfakcję rozmawiania z panią!... Wpadła pani w pułapkę, która zawsze czycha na zakochanych ludzi!... Zawiadomiono panią, że jej ukochany padł ofiarą wypadku i został odwieziony do szpitala w Beaujon... Posłuchała pani głosu swego serca, wyszła z domu i wsiadła do przejeżdżającej przypadkowo taksówki...

(C. d. n.).

Rozrywki umysłowe

LOGOGRYF KRZYŻÓWKOWY

Ułożył por. Cezary Pobóg Pągowski



Wpisać wyrazy według podanych poniżej określeń. Rząd B da rowiązanie.

Poziome: A1. Choroba zakaźna. A5. Budowla. A9. Topola. A14. Dawna broń. A19. Efekt świetlny. A24. But. C1. Epidemja. C7. Papuga. C10. Imię polskiego aktora filmowego. C13. Dźwięk. C16. Imię żeńskie (zdrobn.). C19. Rzeka w Szwajcarji. C22. Imię męskie. C28. Nuta (wspak).

Pionowe: 1. Sprzęt biurowy. 2. Produkt żelaza. 3. Mgła. 4. Państwo w Indjach. 5. Pora roku (wspak). 6. Ciało stałe, wydzielające się z płynu. 7. Zwierzę domowe (2 przyp.). 8. Waga opakowania. 9. Ptak nocny. 11. Plamka na twarzy (od słońca). 12. Zaimek. 13. Umowa, przymierze. 14. Figura w szachach. 15. Pieśń żałosna. 16. Figura jajowata. 17. Inaczej twarz (wspak). 18. Staropolskie określenie „pana". 19. Poświadczenie na paszporcie. 20. Forma odpoczynku (bezokolicznik). 21. Legendarny lotnik. 22. Jedna z władz miejskich. 23. Miasto w Polsce. 24. Przecinek. 25. Powieść Zoli. 26. Bogini sztuk pięknych. 27. Represje. 28. Zdolność przesyłania pewnych czuć. 29. Imię żeńskie (wspak).

METAMORFOZA

ułożył Coturnix.

K	O	B	R	A
Ł				T

Metamorfoza polega na kolejnej zmianie liter danego słowa, tak, aby za każdym razem tworzyć nowe słowo. Powstaje wreszcie nowe słowo, którego wszystkie litery pochodzą z przemian.

ŻARCIK

(ul. kierownik audycyj rozrywkowych Radja Pozn.)

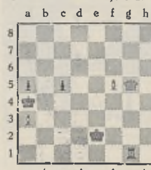
Jest pewien spryciarz i magik, jakich mało,
Co ludzkie podobno umie wskrzeszać ciało.
Inne też człowiek ten wyprawia cuda,
A każde z powodzeniem, każde się uda.
Oto brak mi forsy! Myślcie mężczyźni, kobiety,
Czy zrobiłby on z kart i kości monety!

NAGRODY

Za rozwiązanie każdego z zadań z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania po 2 nagrody książkowe. Termin nadsyłania rozwiązań 10-dniowy.

ZADANIE.

J. Smutny
Czechosłowacja
Świat Szachowy, 1929



Mat w 3 posunięciach

OBRAZKI Z SĄDÓW

Tragiczny szablon

Są sprawy powszednie, zwykłe, szablonowe. Żaden sprawozdawca sądowy nie zwraca na nie uwagi, sala sądu pusta — nikogo ze stałych bywalców — gapiów. Sędziowie, prokurator, oskarżony i obrońca. Jeszcze gdzieś w kącie — niewidoczne, wtulone w ławę, postacie najbliższych — matki, kochanki, żony...

Do takich spraw z reguły należą sprzeniewierzenia drobnych urzędników.

Dzieje takiego sprzeniewierzenia — to pewien szablon tragiczny: jeszcze jedna warjacja motywu „przekleństwo pieniędzy"...

Oto przypadek klasyczny:

Życie spokojne, skromne, zamknięte w ramy. Jakiś inkasent, kancelista, przez którego ręce przechodzą pieniądze, kasjer wreszcie. Powiedzmy — kawaler. Lata całe uczciwy. Dzień do dnia podobny, noc do nocy. Z każdej chwili z łatwością zda rachunek. Przywykł zdawać rachunki. Z pieniędzy, postępków swoich, nawet z myśli. Czasem kino — raz na dwa tygodnie, kobieta, jako sprawa fizjologiczna, ulgowy bilet do teatru. Czasem ktoś z krewnych na prowincji, któremu posyła drobną sumę, czasem książeczka P. K. O. — Wzór drobnego kółka maszyny państwowej.

I oto pewnego dnia — drobna skaza w mechanizmie kółka. Jeszcze nic wielkiego — ziarenko piasku. Jakiś drobny wyskok namiętności, czy tylko przypadek. Większy wydatek. Jakaś czterdziestozłotowa przegrana w karty, a może choroba bliskiego człowieka. Musi zapłacić, a nie ma na to. Pieniądze są. Dużo pieniędzy. Płacić trzeba dziś, a zdać rachunek z pieniędzy — dopiero pojutrze. Przez ten dzień znajdzie pokrycie. Rzeczywiście znalazł. Pieniądz nie ma znaków szczególnych. Pięciozłotówka z pieniędzy publicznych niczem się nie różni od banknotu, pożyczonego od Michała. Ale raz już tknął nieswoich pieniędzy. I nic — to tak łatwo. A potem to powtarza się. Przy małych nawet trudnościach finansowych korzysta z powierzonych mu pieniędzy. Pokrywa braki. Oddaje. Jeszcze oddaje. Ale... do czasu. Bo ta pewna łatwość pokrycia stwarza pokusy.

I oto grunt przygotowany. Benzyna rozlana — trzeba tylko iskry. I iskra pada. Jakaś dławiona namiętność wybucha. Te pieniądze są „łatwe"! Raz w życiu być panem, mieć dużo, dużo pieniędzy! Raz w życiu nie zdawać rachunku! Wybuchło!

Karty lub totalizator, wódka, czy kobieta — jedno, lub wszystko naraz.

Najczęściej niedługo trwa oszołomienie. Jakiś dżdżysty ranek listopadowy.

Chwiejnym krokiem powrót do domu. Przebudzenie. Umysł, włożony w szyny, toczy się znów dawnym torem. Cyfry, cyfry przed oczyma. Rachunek. Znów rachunek. Jak zamknąć, jak się doliczyć? Luka w rachunku. Brak. Potworna suma. Wysokość 3-miesięcznej pensji! Może się jednak da uniknąć katastrofy? Miota się na wszystkie strony. Może ten pożyczy, może ten?... — Nikt.

Do czwartku 3 dni czasu. Ostatni ratunek — fałsz kwitarjusza. Przerabia cyfry, postdatuje kwity. Odwlec katastrofę! Może przez ten czas da się coś zrobić! Napróżno się łudzi...

Życie jego było przejrzyste. Nawykł był do zdawania rachunku z każdej chwili swojej. Teraz nie może. Kolejno trzy razy wrócił do domu nad ranem. Wie dozorca i wiedzą koledzy. Spotkano go z kosztowną kobietą. Widzieli i mówili. Naczelnik kancelarji spostrzegł go na wyścigach. Skąd bierze pieniądze?

Kontrola. — Śledztwo. — Sąd.

A kiedy wróci, być może, po dwóch latach więzienia i krótkiej wolności znów na tę salę sądową — niejeden sprawozdawca sądowy o ciekawej sprawie napisze. *I. E.*









KOBIETA NIENORMALNA

(Dokończenie ze str. 4-ej)

— O, nie!

Osiadła w Kielcach, po roku, rzeczywiście, urodziła dziecko, ale łudząco podobne do jej męża — i całkowicie poświęciła się suszeniu pieluch i grzybów. Całować się niecierpiała, pieścić też. Kiedy jej mąż, pan grubo postarszawy, usiłował czasami, po powrocie z handełku, albo po otrzymaniu renumeracji świątecznej, uszczypnąć ją w policzek — (była naprawdę urocza!) — mówiła niechętnie:

— Też cię się głupstwa trzymają... Zostaw, Kajtuś!

I to „Zostaw, Kajtuś!" stało się wprost przysłowiowe. Całe Kielce powtarzały sobie na ucho:

— „Zostaw, Kajtuś!"

Mężczyźni szaleli. Zwłaszcza młodsi. Słyszało się wciąż:

— Skandal! Kobieta młoda, ładna, świeża, jak rzepa — dopiero po jednem dziecku — i żeby chociaż na dancing poszła!

Inni dodawali:

— *Premjowana piękność!* Tak się marnować! Oburzające!

Wogóle, wrzało.

— To jest stanowczo kobieta *nienormalna!*

* *

Ach, moi Drodzy, jakże się wszyscy mylili... To była zupełnie normalna, najnormalniejsza w świecie kobieta!... Tylko, że już tak się głupio utarło... Gwałtem robimy z nich, hurtem, Messaliny. A one bywają przeważnie spokojne, zimne i leniwe, jak już powiedziałem na wstępie tej historji. Palić się? Owszem, ale do smażenia konfitur z truskawek. Pożądać? Owszem, ale wiecie czego? Od-ku-rza-cza e-lek-trycz-ne-go na wła-sność!

— Nie wierzycie?

Co słychać na świecie?

Długotrwały kryzys rządowy w Czechosłowacji dobiegł nakoniec kresu i p. Udżal utworzył nowy rząd, oparty na czerwono-zielonej kombinacji socjalistów i agrarjuszy. Większość rządowa jest przygniatająca: obejmuje przeszło dwie trzecie głosów zarówno w sejmie jak i w senacie, tem mniej przeto niewtajemniczony może zrozumieć, dlaczego na utworzenie rządu trzeba było aż sześć tygodni czekać, skoro sytuacja w niczem nie uległa zmianie od dnia wyborów.

Ostatnie wybory przyniosły zwycięstwo grupie socjalistów, oddając w ich ręce klucz pozycji strategicznej, który do tej pory dzierżony był przez agrarjuszy. Ze zmiany tej dawna większość nie umiała sobie odrazu zdać sprawy, i zaczęła tak postępować, jakgdyby w dalszym ciągu była panią sytuacji. Zanim doszło do ustalenia, iż jedynie czerwono-zielona koalicja może objąć rządy, upłynęły tygodnie, a i wtedy jszcze agrarjusze podjęli wysiłki w celu odsunięcia od władzy socjalistów niemieckich, co naturalnie skompromitowałoby całkowicie czteroletnie wysiłki wciągnięcia Niemców do pracy państwowotwórczej. Gdy się to wszystko wyjaśniło, zatrzymano się wreszcie na koncepcji najprostszej, najlogiczniejszej, najoczywistszej, która się narzucała sama z siebie nazajutrz po wyborach: koalicji trzech stronnictw socjalistycznych i dwu partji agrarnych.

W nowym gabinecie p. Udżala najsilniejszą pozycję zajmuje p. Benesz, którego popierać będzie cały blok socjalistyczny. Dla republiki czechosłowackiej jest to duże szczęście, iż polityka zagraniczna od lat wielu spoczywa w jednych rękach i to w rękach doświadczonych. Zyskał na tem wiele autorytet naszego pobratymczego sąsiada na terenie międzynarodowym.

Przystąpienie St. Zjednoczonych do Trybunału sprawiedliwości Międzynarodowej w Hadze stało się faktem dokonanym. Ponieważ Trybunał jest pod pewnym względem instytucją zawisłą od Ligi Narodów, która go traktuje, jako swój organ pomocniczy, St. Zjednoczone mimo swych znanych poglądów za arbitrażem międzynarodowym przez długie lata jednak wahały się czy mogą zgłosić swój akces do instytucji haskiej, aby nie stosować nawet pozorów współpracy z Ligą Narodów. Trzeba było dopiero zmiany statutu Trybunału, trzeba było szeregu rezygnacji na rzecz St. Zjednoczonych, aby te wreszcie zdecydowały się na przystąpienie. Nie ulega wątpliwości, że mimo wszelkich zastrzeżeń współpraca St. Zjednoczonych z Trybunałem zbliży ją do spraw Europy, a autorytet Trybunału poważnie wzrośnie.

Że w sposób bardzo swoisty można pojmować różne swe zobowiązania, dowodzi najlepiej odpowiedź rządu Sowietów na wystąpienie Stanów Zjednoczonych, które przypomniały obu wojującym na Dalekim Wschodzie stronom podpisany przez nie pakt Kelloga. Rząd Sowietów bardzo poczuł się dotknięty, uważa, iż akcja jego w Mandżurji — a wojska bolszewickie zajęły spory szmat ziemi, od Manczuli aż do Haitaru — jest podyktowana tylko koniecznością obrony zagrożonego państwa Sowietów, uważa, że żadne z państw, które podpisały pakt Kelloga, nie powinno się wtrącać do tych, które ten pakt łamią, twierdzi, że krok Stanów Zjednoczonych podyktowany jest chęcią utrudnienia stanowiska Sowietów w bezpośrednich rokowaniach z Chinami i wreszcie z całą arogancją zapytuje, dlaczego St. Zjednoczone, skoro chcą rozmawiać z rządem Sowietów, nie podejmują bezpośrednich stosunków dyplomatycznych. Odpowiedź rządu Sowietów, to bardzo ciekawy i pouczający dokument, jak zobowiązania międzynarodowe tłómaczyć na swoją korzyść.

Po swojemu także traktuje zagadnienie reparacji i problem wprowadzenia w życie planu Young'a p. Schacht, prezydent Banku Rzeszy, ekspert z ramienia Niemiec, który podpisał dokument haski. P. Schacht uważa, iż fałszuje się obecnie plan Young'a i że narzuca się Niemcom zobowiązania, które z planu bynajmniej nie wynikają: exemplum: układ likwidacyjny z Polską, układ o markach z Belgją i przysądzenie różnicy, powstałej w okresie trzech miesięcy wspólnego działania obu planów Dawes'a i Young'a na rachunek spłat reparacyjnych. P. Schacht składa votum separatum, umywa ręce od rzekomej odpowiedzialności, zapominając, że rola jego, jako eksperta Niemiec, dawno się skończyła i że raport ekspertów był kanwą, na której rządy państw zainteresowanych osnuły umowę, jaką uznały za słuszną, i one tylko będą ponosiły za nią odpowiedzialność. Gra p. Schachta jest bardzo przejrzysta. Jak w swoim czasie, z polecenia grupy nacjonalistów, do których się zalicza, czynił wszystko, co mógł, aby nie dopuścić do porozumienia w Hadze i trzykrotnie stawiał pod znakim zapytania wyniki obrad, tak obecnie dąży do odrzucenia planu Young'a przez Niemcy, pognębienia rządu p. Müllera i poparcia akcji p. Hugenberga. Wskazuje na to najwyraźniej nielojalność kroku p. Schachta: mimo zobowiązania, że ze swym sądem wystąpi publicznie dopiero wtedy, gdy sąd ten nie będzie mógł wpłynąć na bieg polityki rządu Rzeszy, pośpieszył się z nim już dzisiaj, w widocznym zamiarze wprowadzenia nowego dysonansu do życia politycznego Niemiec w przeddzień drugiej konferencji Haskiej i dostarczenia nowych argumentów zwolennikom tezy p. Hugenberga, która stanie się przedmiotem plebiscytu w dniu 22 grudnia.

Tymczasm życie biegnie swoją drogą. Państwa sojusznicze, wywiązując się z całą skrupulatnością z swych zobowiązań traktatowych, opróżniły wojska sojusznicze pozostają natomiast w trzeciej wojsko sojusznicze pozostają natomiast w trzeciej strefie, której przyśpieszona ewakuacja pozostaje w ścisłym związku z wejściem w życie planu Young'a. Solidarność sojusznicza jest ściśle podkreślona. Wysoki komisarz brytyjski pozostaje na miejscu obok swych kolegów francuskiego i belgijskiego i Niemcy nie mogą w tej sprawie liczyć na rozbieżność zdań między sojusznikami.

Rząd angielski zaczyna już coraz obficiej i coraz częściej kosztować goryczy władzy. Rzecz ciekawa, że w ostatnich głosowaniach w Izbie Gmin, nawet w kwestji drugorzędnej wagi, opowiedział się przeciw rządowi skrajny odłam lewicy, walczący dotąd w łonie partji tylko z kompromisowością p. Mac Donalda w sprawach robotniczych. W Izbie Lordów znowu — w przeddzień niemal przyjazdu p. Sokolnikowa — uchwalono wniosek, potępiający nawiązywanie stosunków dyplomatycznych z Sowietami. Wprawdzie uchwała ta nie ma obowiązującego znaczenia dla rządu i jest tylko manifestacją, ale manifestacją dającą wiele do myślenia.

Dr J. G.

TEATRY

Wielki: dn. 18 b. m. „Trawiata"; dn. 19 b. m. „Otello"; dn 20 b. m. „Ostatni Pierrot", „Kleks" i Serduszko"; dn. 21 b.m. „Ijola"; dn. 22 b. m. „Bal Maskowy"; dn 23 - 25 b. m. przedstawienie zawieszone.

Narodowy: Codziennie „Kres Wędrówki".

Letni: Codziennie „Panna z Dyplomacji".

Nowy: Codziennie „Anna Christie".

Polski: Codziennie „Rewizor".

Mały: Codziennie „Czarujący emeryt".

Ateneum: Codziennie „Pani Prezesowa".

Eliseum: Codziennie „Mirla Efros".

Morskie Oko: Codziennie rewja p. t. „Cała Warszawa".

Qui Pro Quo: Codziennie rewja p. t. „Coś wisi w powietrzu".

KINA

Stylowy: „Kobieta z bruku".

Apollo: „Grzechy ojców".

Splendid: „Fox Follies".

Światowid: „Upadły anioł".

Casino: „Erotikon".

Palace: „Kobieta na księżycu".

Wodewil: „Pat i Patachon wśród ludożerców".

Quo Vadis: „Ludzie bezdomni".

Miejskie: „Lunatyk".

Colosseum: „Ulica potępionych dusz".

Akropolis: „Statek komedjantów".

Filharmonja: „Prawo męża".

Capitol i Pan: „Coraz Prędzej".

Hollywood: „Podwójne życie".

Odciąć, dokładnie wypełnić i przysłać do redakcji.

Konkurs na „Najpiękniejsze dziecko polskie"

Głosuję na dziecko Nr. ....

Imię i nazwisko głosującego:

....

....

Adres: ....

....

....

Udział w głosowaniu biorą rodzice oraz wszyscy bez wyjątku czytelnicy „7 DNI"

Głosować należy na dzieci, których fotografje, wybrane i dopuszczone przez sąd konkursowy, były zamieszczone w Nr. Nr.: 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40 i 41 „7 DNI".

Każdy kupon liczy się jako 1 głos. Każdy głosujący może nadsyłać dowolną ilość kuponów.

Niebywałe nagrody: I — 3000 zł., II — 2000 zł., III — 1000 zł. i t. d.

Kupon ważny w przeciągu dni 8 od ukazania się numeru niniejszego w sprzedaży

ZOFJA DROMLEWICZOWA.

Encyklopedja filmowa

J.

JEDYNAK.

Jedynak jest to syn miljonera niezmiernie miły chłopiec obdarzony wyjątkowo silnym upodobaniem do mistyfikacji wszelkiego rodzaju. Dlatego też jedynak nigdy nie jest sobą. Przeciwnie znajdujemy go w najrozmaitszych postaciach, które trudno posądzić o miljony a nawet o ojca. Oto widzimy brudnego rzeźnika w zakrwawionej koszuli. Amerykańskim zwyczajem w rzeźniku tym zakochuje się piękna dziewczyna książęcego rodu. Szlachetna ta dziewczyna nie zwraca uwagi na niski zawód ukochanego, kocha go i to jej wystarcza. On kocha ją również miłością płomienną i szaloną. Rodzina się sprzeciwia. Stara matka mdleje raz po raz a blada i zacięta oblubienica powtarza uparcie:

Kocham go więc może być rzeźnikiem, dla mnie jest królewiczem z bajki. I oto Bóg wynagradza tę chwalebną wierność, te demokratyczne ujęcie sprawy.

Otwierają się nagle drzwi i wchodzi dystyngowany pan w tużurku roniąc po drodze dolary.

Na widok prawdziwych pieniędzy księżna matka przerywa rozpaczliwe łkanie i patrzy ciekawie na przybyłego. Ten zaś ściska czule narzeczoną rzeźnika:

Drogie dziecię — mówi — nie martw się wcale. To nie rzeźnik, to mój jedyny syn. Ja zaś jestem królem nafcianym. On tak zrobił naumyślnie. Wówczas zapanowuje ogólna radość. Matka znów mdleje, lecz tym razem ze szczęścia. Do salonu zaś wchodzi dawny rzeźnik umyty w modnym smokingu, zadowolony, że podstęp mu się udał i że zdobył w ten sposób prawdziwe uczucie.









Zresztą nie zawsze obowiązuje przebieranie się za rzeźnika. Może to być również dobrze chłopiec, który rozwozi śmietankowe lody, chłopiec stajenny, picolo, młody kamerdyner. Najważniejsze jest tylko aby w domu w którym służy, znajdowała się młoda dorodna panna i zechciała go pokochać gorącą miłością nie zwracając najmniejszej uwagi na jego niski stan i brak wykształcenia. Wówczas dopiero rozpieszczony jedynak, pewny jest swego przyszłego szczęścia.



(fot, Fox Metro i Universal).

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE

Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, 1/2 strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej (Oprócz dni świątecznych).

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.

Drukarnia Zakładów Wydawniczych M. Arct, Sp. Akc. w Warszawie, Czerniakowska 225.